

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Co niepokoi Polaków? Rok 2025 nie był zły. Byle 2026 nie był gorszy

● Mariusz Gadomski o brawurowym porwaniu w Trzech Króli ● Najważniejsze premiery filmowe

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów



kurier lubelski

Piątek-Niedziela 9-11.01.2026 | Nr. 4 (18.180) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Zasilek pogrzebowy.
Od 1 stycznia rodzinie
zmarłego ZUS wypłaca
7 tys. zł
str. 5



Jarosław Dymek
przebiegł przez
wszystkie lubelskie
ulice i rzuca kolejne
wyzwania **str. 4**

Jest apelacja
od wyroku
w sprawie krzyża
i wojewody
Komorskiego **str. 3**

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



Zima nas zaatakowała.
Władze Zamościa wezwały
wojsko na pomoc **str. 5**

Marek Oramus
pisarz i futurolog:
Kapitalizm staje się
kamieniem u szyi
cywilizacji
str. 18

Inwestycja w złoto. Przez tysiące
lat nie zdarzyło się, by złoto
straciło na wartości, co świadczy
o jego sile. Jest to aktywo pewne
i namacalne **str. 20**



Zamieszanie z ortografią. Co wpłynęło
na decyzje dotyczące zmian w zasadach
pisowni? – wyjaśnia językoznawca **STR. 12**



Trwa demontaż wieży zniszczonego przez
pożar kościoła przy ul. Kunickiego w Lublinie
STR. 3

Marek Twaróg

JAK PORÓWNAĆ PREMIERA DO MADURO I CZUĆ SIĘ DOBRZE



Tomasz Sakiewicz, Izabela Kloc i inni prawicowi działacze porównali w mediach społecznościowych Donalda Tuska do wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro. Sakiewicz czy Kloc to tylko symbol pewnej metody - całego sposobu myślenia po prawej. Prawo nie ma znaczenia, bo siła ma znaczenie, media nie mają znaczenia, bo propaganda ma znaczenie, zasady nie mają znaczenia, bo biznes i pieniądze mają znaczenie.

Ustalmy od razu: jeśli pani posłanka Kloc czytała rocznemu wnukowi książkę Kaczyńskiego i była tym chwycona tak bardzo, że pochwaliła się na Facebooku, to dlaczego nie miałyby teraz uważać Tuska za drugiego Maduro? I jeśli Sakiewicz na okładce swojego periodyku dał trzy lata temu Tuska z podpisem „Gott mit uns”, to dlaczego teraz nie miałby marzyć, by Trump porwał polskiego premiera i wywiózł go z kraju?

To oczywista oczywistość - cytując idola Kloc i Sakiewicza - że oboje doskonale odnajdują się w świecie braku zasad, ignorowania prawa, w tym prawa międzynarodowego, zamulania wszelkich zasad etycznych. Donald Trump spadł im z nieba. Już w czasie pierwszej prezydentury nauczył ich wiele: od szantażowania niepokornych wobec ideologicznych wariactw wielkich miast, przez obdarowywanie swoich faworytów funduszami federalnymi, aż po brutalną walkę z imigrantami czy zakwestionowanie zmian klimatycznych. W drugiej dołożył jawną niechęć do Unii Europejskiej czy uległość wobec wschodnich satrapów, a nienawiść do mediów osiągnęła stan patologiczny.

Wypisz-wymaluj program prawicowych radykałów przełożony na swój buraczany sposób na realia polskie, a może wszechpolskie. Wszystko to znaliśmy nad Wisłą w pewnym wymiarze, ale dopiero teraz metoda ta otrzymała legitymację światowej potęgi i ma swojego prawdziwego lidera. Mamy więc ruską propagandę, która wpływa na biedne umysły nie tylko Braunowców i mąci im spokój ducha. Mamy boty i farmy trolli wzmacniające polsko-polską wojnę, mamy głupkowate kanały na YT, które dają głos wariatom, mamy podważanie społecznego konsensusu, mamy wreszcie wynajętych przez Putina bandytów od pożarów i podkładania bomb pod pociągami.

Wszystko to zło, tam mamy wroga. Ale Polskę rozkręcali i rozkręcają śruba po śrubicie także ci, którym przywódca mocarstwa i nasz sojusznik dał gwarancję dobrego samopoczucia. Najpierw pokazał, że można kwestionować każdy porządek, potem nauczył uprawiania pseudopolityki albo realpolityki, a dziś daje glejt na takie poczynania.

Adam Bula

UMRZEMY ZA GRENLANDIĘ CZY ODDAMY KORYTARZ?



Za komuny modny był żart, że PRL powinien wypowiedzieć wojnę USA, a potem natychmiast się poddać. To było nawet dość śmieszne za późnego Gierka i smętną dekadę Jaruzela. Trochę mniej śmieszne jest, że po 40 latach pomyśl, żeby Polska została kolonią Stanów, podobna się połowie naszej tzw. klasy politycznej.

Dla porządku zaznaczmy, że według tej połowy - z grubsza to PiS i Konfederację - wiernopoddani czy sojusz z Ameryką Trumpa to odpowiedź na zdradzieckie działania tej drugiej połowy - z grubsza to Tusk i cała Koalicja 15 X - którzy robią z Polski kolonię niemiecką, wiernie realizując nad Wisłą interesy „Brukseli”.

Zauważyliście? - nie ma tu w ogóle miejsca na wizję Polski, która rządzi się we własnym interesie i możliwie samodzielnie, bez „mocnych” patronów. Może dlatego między zwolenników „tylko Ameryki” a „Unii przede wszystkim” tak zgrabnie wbija się skrajne skrzydło Korony Polskiej Brauna i rzesza niszowych dotąd, dziwnych ludków z hasłem: „hej, a wielka i słowiańska Rosja? Musimy się po polexieć na nowo dogadać z Rosją, bo nasz odwieczny wróg to Ukraińcy”.

Prawdziwe zamieszanie zacznie się, gdy Donald Trump ruszy po Grenlandię. A pewnie ruszy szybciej, niż zamierzał, bo z każdą zastrzeloną jak pies białą kobietą w Minneapolis potrzebował będzie bardziej „sukcesów” za granicą. Błyskotliwa, nokautująca akcja amerykańskich sił zbrojnych w Wenezueli z pewnością dodała też jego administracji animuszu.

No więc tak: jak przyjdzie co do czego, to wysyłamy Formozę na pomoc Duńczykom czy oddajemy znów GRÖM do dyspozycji Amerykanów, by pomogli w lądowaniu ich sił specjalnych. Marynarki lepiej nigdzie nie wysyłajmy, bo dopiero mamy ją mieć. Wojskowi mają cywilne zwierzchnictwo, więc czekają nas wtedy dwa następujące po sobie orędzie do Narodu i nie do końca jest pewne, co w nich usłyszymy. Bo generalnie sprawa dla nikogo nie będzie prosta: NATO nie ma żadnych procedur na wypadek konfliktu zbrojnego między dwoma jego członkami. Po prostu zamiast wałkować art. 5 Paktu - pomoc dla zaatakowanego

członka Sojuszu, wałkowany będzie art. 1, który wojny w rodzinie zabrania.

No ale to przecież nie będzie wojna: Amerykanie nie muszą najeżdżać wyspy, wystarczy, że radykalnie i bez zgody Danii powiększą swój personel wojskowy w bazie lotniczej, którą mają tam od połowy XX wieku.

To oczywiście czysta spekulacja. Znacznie ciekawsze są dziś spekulacje, kto lub co było na pustym tankowcu rosyjskiej floty cieni, który z Iranu płynął sobie do Wenezueli, ale nie dopłynął, tylko nawiewał przez Atlantyk, ścigany przez Amerykanów, którzy ostatecznie zrobili jego abordaż, zanim Rosjanie mogli go skutecznie ochronić na Morzu Barentsa. To musiało być coś więcej wartego dla Rosjan niż cała legenda floty cieni, skoro na koniec próbowali się ratować, wciągając tankowiec pod swoją oficjalną banderę.

Spokojnie - nikt nie ma pojęcia, o co tam chodziło. Jasne za to jest, że Amerykanie weszli w fazę ostrego prężenia mięśni, przekazując komunikat, że mogą robić, co chcą i gdzie chcą. Złośliwi zauważają jednak, że nie dotyczy to tylko Chin i kwestii Tajwanu, bo tam może być akurat zupełnie odwrotnie. Ale pewne jest tylko jedno: po zaledwie tygodniu nowego roku wiadomo już, że to będzie ekstremalnie... ciekawy rok. A jak my jesteśmy na niego gotowi?

Dominik Tarczyński, teoretycznie nadal z PiS, choć już naprawdę mógłby zrzec się polskiego obywatelstwa, publicznie klaszcze agentom służb imigracyjnych ICE z Minneapolis. Patrząc na niego, mam wrażenie, że marzeniem Tarczyńskiego jest zrobienie sobie niedźwiedzia z głębokim całusem z Trumpem, tak jak to udawało się naszym kiedyś z Breżniewem. W każdym razie inni PiS-owcy, którzy w tym czasie wieszczyli Tuskowi, że będzie następny po dyktatorze Wenezueli, to przedszkole.

Trzon partii PiS próbuje w tym czasie coś politycznie ugrać na tragedii zgwałconej policjantki z Piaseczna, doprowadzając szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego do stanu, w którym z mównicy sejmowej apeluje: puknijcie się w czoło, pisowskie hieny...

Na szczęście ten pierwszy tydzień nowego roku zakończy spotkanie prezydenta i premiera, na którym ustalą, czy są w stanie cokolwiek między sobą ustalić.

Nie łudźcie się jednak: szaleństwo świata nie jest dość dobrym powodem, by jakiś polski polityk zaczął się kierować nie partyjnym interesikiem, tylko... polską racją stanu. To zwyczajnie za trudne dla ludzi o mentalności wasali.

Niezależnie od emocji politycznych wewnątrz kraju w kwestii bezpieczeństwa będę namawiał prezydenta, żeby wykorzystał, jak najlepiej potrafi, swoje relacje z administracją amerykańską i prezydentem Donaldem Trumpem i dlatego będę proponował, żebyśmy budowali synergii i pełną koordynację

PREMIER DONALD TUSK PO SPOTKANIU Z TW. KOALICJI CHĘTNYCH W PARYŻU

nasz REGION

KRÓTKO

LUBLIN

Żołnierze wyruszają do Bośni i Hercegowiny

Na placu apelowym 19. Lubelskiej Brygady Zmechanizowanej w środę odbyło się uroczyste pożegnanie żołnierzy wylatujących na XXX zmianę Polskiego Kontyngentu Wojskowego EUFOR ALTHEA do Bośni i Hercegowiny.

Zastępca dowódcy 18. Dywizji Zmechanizowanej w skład której wchodzi brygada, gen. bryg. Dariusz Lewandowski, zwrócił się do żołnierzy i do ich rodzin: - Stoicie dziś przed kolejnym ważnym zadaniem. Już za chwilę udacie się na Bałkany, do Bośni i Hercegowiny, aby realizować zadania w ramach trzydziestej zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego. To zaszczyt, ale i ogromna odpowiedzialność - mówił generał.

Podkreślił również, że polscy żołnierze są obecni w Bośni i Hercegowinie od ponad dwudziestu lat, a głównym

zadaniem PKW jest szkolenie i odbudowa zdolności Sił Zbrojnych Bośni i Hercegowiny zgodnie ze standardami NATO i Unii Europejskiej.

- Za każdym z was stoją ludzie, którzy przygotowują was do tej misji. Do misji, podczas której zdobywacie doświadczenie i z której wracacie wzmocnieni, z nowym bagażem doświadczeń, by wykorzystać je w Polskich Siłach Zbrojnych. Za każdym z was stoi także rodzina, która przez najbliższe kilka miesięcy będzie tęskniła i czekała na swojego żołnierza - podkreślał wicewojewoda lubelski Andrzej Maj.

XXX zmiana PKW EUFOR ALTHEA będzie kontynuować działania na rzecz stabilizacji regionu Bałkanów, monitorowania sytuacji bezpieczeństwa oraz współpracy z lokalnymi władzami i instytucjami.

Małgorzata Genca



FOT. MAŁGORZATA GENCA

LUBLIN

Awanturnik stanie przed sądem

23-letni mieszkaniec Lublina stanie przed sądem za uszkodzenie Porsche i groźby z użyciem pistoletu. Młodzieniec awanturował się ze znajomymi swojej dziewczyny. - Mężczyzna był agresywny. Groził im przedmiotem przypominającym broń. Dodatkowo rzucając butelkę uszko-

dził karoserię samochodu. Sprawca został zatrzymany przez policyjnych wywiadowców i trafił na komisariat - mówi podinsp. Kamil Gołębowski. Policjanci zabezpieczyli pistolet na CO2 (nie wymaga zezwolenia). Wartość uszkodzeń w Porsche oszacowano na 7 tys. zł. AR

S17 LUBLIN - WARSZAWA

Uwaga, kierowcy. Pomiar prędkości w Garwolinie

W Garwolinie, na trasie do Warszawy, od 1 stycznia działa odcinkowy pomiar prędkości. Odcinek, który jest kontrolowany przez kamery na obwodnicy Garwolina, ma 6,2 km długości i obejmuje fragment od węzła Garwolin Południe (Sulbiny) do węzła Garwolin Zachód (w okolicy Avonu). Dla samochodów osobowych obowiązuje tam ograniczenie prędkości do 120 km/h, dla pojazdów ciężarowych do 80 km/h. AP



FOT. ARCHIWUM

LUBLIN

Oto najmodniejsze imiona dzieci rocznik 2025

Najpopularniejsze imiona nadawane dzieciom urodzonym w ub.r. w Lublinie, to: Nikodem, Antoni, Aleksander, Jan, Ignacy oraz Laura, Zuzanna, Julia, Zofia i Alicja.

Rozpoczął się demontaż wieży kościelnej, którą strawił pożar

Jakub Sarek
Lublin

Trwa demontaż wieży zniszczonego przez pożar kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusowego przy ul. Kunickiego w Lublinie. Świątynię czeka później częściowa rozbiórka.

W Boże Narodzenie w świątyni wybuchł pożar. Ogień zniszczył dach. Uszkodzeniu uległ też strop budynku i częściowo jego wyposażenie. Strażacy oszacowali wstępnie straty na 3 mln zł.

Decyzją Powiatowego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Lublinie budynek został wyłączony z użytku. Powód? Grozi on zawaleniem.

- Wieża jest połączona konstrukcyjnie z naszą świątynią. Dostaliśmy polecenie od służb, żeby przystąpić do jej demontażu, bo nie wiemy, jak podczas rozbiórki zachowają się strop i dach - mówi „Kurierowi” ks. Waldemar Sądecki, proboszcz parafii pw. Najświętszego Serca Jezusowego w Lublinie. - Wszystko odbywa się w porozumieniu z nadzorem budowlanym. Demontaż wieży to pierwszy etap. Dzwony i wszystkie sprzęty, które się na niej znajdowały zostały zmagazynowane. Następną fazą będzie zdejmowanie blachy ze stropu, aby wykonać jego dokumentację fotograficzną. Kiedy to się odbędzie? To zależy od warunków pogo-



FOT. MAŁGORZATA GENCA

W środę byliśmy przy rozbiórce wieży kościelnej. Nie wiadomo, ile potrwa prace, bo pogoda nie sprzyja

dowych i decyzji administracyjnych. Wszystko odbywa się zgodnie z procedurami i zachowaniem standardów bezpieczeństwa. Nie możemy rozpocząć rozbiórki stropu, bo nie mamy póki co na to pozwolenia.

Nie chcemy rozbierać więcej niż potrzeba. Priorytetem jest uratowanie mienia. Elementy budynku są nasiąknięte wodą - mówi proboszcz

Wciąż nie jest znana też skala rozbiórki świątyni. Pożar zniszczył jej dach, strop i częściowo wyposażenie.

- Nie chcemy rozbierać więcej niż potrzeba. Demontażowi ulegnie strop. Sytuacja jest bardzo rozwojowa. Priorytetem jest uratowanie mienia. Elementy budynku są nasiąknięte wodą. Dodatkowo, na dworze panują mrozy i pada śnieg. Sytuacja może zmienić się z godziny na godzinę - podkreśla ks. Sądecki.

Służby ustalają też przyczynę pojawienia się ognia. Dodatkowo, prokuratura prowadzi

śledztwo w sprawie pożaru. Toczy się w kierunku sprowadzenia zdarzenia zagrażającego życiu lub zdrowiu wielu osób albo mieniu w wielkich rozmiarach.

Msze św. i nabożeństwa sprawowane są w kościele NSJ w takich godzinach jak zwykle, w salach w domu parafialnym. Można się tam dostać od ulicy Koźmiana. Czynna pozostaje też kancelaria parafialna, wejście również od ul. Koźmiana.

Trwa zbiórka pieniędzy na odbudowę świątyni. Szczegóły na stronie internetowej parafii.

Jest apelacja od wyroku w sprawie wojewody

Jakub Sarek
Lublin

Sąd ponownie zajmie się sprawą krzyża zdjętego z Sali Kolumnowej Lubelskiego Urzędu Wojewódzkiego.

Apelację od wyroku pierwszej instancji, który uniewinnił wojewodę od zarzutu przekroczenia uprawnień i obrazy uczuć religijnych, złożył pełnomocnik oskarżycieli Olgierd Pankiewicz.

- Mamy nadzieję, że sędzia drugiej instancji przyjmie postawę propolską, bo krzyż nie-

rozerwalnie wiąże się z polskością. W historii naszego narodu jest obecny od samego początku, czyli od 966 r. Zdejmując krzyż pan wojewoda naruszył nasze narodowe wartości. Nie mogliśmy tak tego zostawić, stąd apelacja - mówi w rozmowie z nami Elżbieta Puacz, prywatny oskarżyciel. - Św. Jan Paweł II wzywał do nas do niewyrzucania krzyży z miejsc publicznych. My, odrzucając krzyż, obcinamy korzenie z których wyrastamy. Nie róbmy tego, bo przestaniemy istnieć. Pan wojewoda nie jest urzędni-

kiem z wyboru, tylko z nadania. Ma nas reprezentować. Sprawa zdjętego z Sali Kolumnowej urzędu wojewódzkiego krzyża nas bardzo boli. Oni nie widzi w tym problemu. A to oznacza, że nas nie reprezentuje.

Sprawa sięga grudnia 2023 r., kiedy to Krzysztof Komorski, tuż po objęciu urzędu, poinformował, że poprosił o zdjęcie krzyża z reprezentacyjnej Sali Kolumnowej urzędu i wniesienie do niej flag unijnych. Podkreślał przy tym, że nie chodzi o „jakiś happening polityczny”, tylko o neutralność światopoglądową.

Później wojewoda Komorski tłumaczył, że „krzyż nie został zabrany, tylko z Sali Kolumnowej przeniesiony do sali nr 52”.

W listopadzie 2025 r. wojewoda Komorski zapytany o to, czy mając obecne doświadczenia, zrobiłby to ponownie, potwierdził. - Od początku mówiłem, że to nie miało na celu obrażania kogokolwiek, wywołania jakiegokolwiek dyskusji, nie miała być manifestacją. Chodziło tylko o to, by zapewnić neutralność światopoglądową. Ale tak, podjąłbym taką decyzję jeszcze raz.

Były wiceminister zdrowia został naczelnym lekarzem w centrali KRUS

Jakub Sarek
Lublin

Marek Kos, były wiceminister zdrowia i obecny radny Sejmiku Województwa Lubelskiego, został powołany na stanowisko naczelnego lekarza w centrali KRUS w Warszawie.

O swoim nowym zajęciu Marek Kos poinformował na swoim profilu w mediach społecznościowych.

- Z Nowym Rokiem nowa praca, nowe obowiązki, nowe wyzwania. Z rąk prezesa KRUS Tomasza Ślusarczyka otrzymałem powołanie na stanowisko Naczelnego Lekarza Kasy w Centrali KRUS w Warszawie. Praca w orzecznictwie lekarskim nie jest mi obca, przez kilka lat byłem lekarzem-rzeczniczącą placówki terenowej



Marek Kos

KRUS w Kraśniku, wiele lat prowadziłem też zajęcia z orzecznictwa lekarskiego dla lekarzy w CMKP w Warszawie, a samo orzekanie o stanie zdrowia to część pracy zawodowej każdego lekarza - napisał Kos.

Marek Kos jest absolwentem Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, specjalistą w dziedzinie chirurgii ogólnej i zdrowia publicznego. Od 2014 r. z ramienia PSL (jest członkiem tego ugrupowania) zasiada w Sejmiku Województwa Lubelskiego.

Prokuratura Okręgowa w Lublinie prowadzi śledztwo w sprawie habilitacji Marka Kosa. Z anonimowego zawiadomienia wynikało, że w postępowaniu habilitacyjnym mogło dojść do nieprawidłowości. Jak pisała „Gazeta Wyborcza”, po tym, gdy został wiceministrem zdrowia, jego kariera naukowa znacząco przyspieszyła. Nagle opublikował wiele artykułów naukowych. W ciągu sześciu miesięcy ukazało się ich aż 10, a lekarz, który jest chirurgiem ogólnym, pisał o telemedycynie, związkach między zapaleniem przyzębia a chorobami hematologicznymi, czy o wpływie leczenia w komorze hiperbarycznej na komórki wątroby szczurów. Zajmował się także immunologią.

Radny lubelskiego sejmiku nie usłyszał do tej pory zarzutów w tej sprawie.

Jarosław Dymek przebiegł przez wszystkie lubelskie ulice

Joanna Jastrzębska
Lublin

Jarosław Dymek, miłośnik biegania i niecodziennych wyzwań, osiągnął swój kolejny sportowy cel: przebiegł wszystkie ulice Lublina. Już planuje kolejny challenge.

Jarosław Dymek jest być może najbardziej lubelskim aktywnym sportowcem - jego ulubionymi wyzwaniami są te dotyczące Lublina. Rok temu było o nim głośno, bo w 14 miesięcy przebiegł trasy wszystkich linii komunikacji miejskiej, łącznie 1241 km. Pod koniec grudnia do listy oryginalnych osiągnięć mógł dopisać także przebiegnięcie wszystkich ulic Lublina, których naliczył 1157. Jak podliczył, na pokonaniu 1087 km spędził prawie 129 godzin w ciągu 350 dni. Najwięcej, kiedy pokonywał Węglin Północny i za jednym razem zrobił 34 km. Ale to po sąsiedzku, na Węglinie Południowym, znalazł swoją ulubioną ulicę - ul. Węglinę.

- Całkowicie mnie urzekła! Długa płaska ulica pośród pól i wawozów. Idealna do biegania. Szkoda, że jest tak daleko od mojego miejsca zamieszkania - mówi.

Najgorszą, którą zapamiętał, były z kolei al. Solidarności i al. Witosa. - To nie są ulice do biegania. Robiłem je na kilka razy - wspomina.



Jarosław Dymek. Jego ulubionymi wyzwaniami są te dotyczące Lublina. Już planuje kolejny challenge

Metę wyzwania osiągnął w dzielnicy Zemborzycze 21 grudnia. To była trasa ważna również z innego powodu - bieg wokół zalewu był jednym z pierwszych, który zrobił jako mieszkaniec Lublina.

- Ukończenie wyzwania wywołało we mnie dwa uczucia. Pierwsze wynika z myśli, że jestem prawdopodobnie jedynym, który zrobił coś takiego, i pewnie to się będzie jeszcze przez długi czas utrzymywało. A drugie uczucie to ulga, bo chociaż nie z Jarosław Dymek jest być może najbardziej lubelskim aktywnym sportowcem -

jego ulubionymi wyzwaniami są te dotyczące Lublina akładałem sobie żadnego czasu, po ciachu liczyłem, że uda mi się do końca 2025 r. Pod koniec podgoniłem, bo zobaczyłem, że w prognozach zapowiadali mrozy - przyznaje z uśmiechem.

Przebiegł wszystkie lubelskie ulice. Jak podliczył, na pokonaniu 1087 km spędził prawie 129 godzin w ciągu 350 dni

Ponieważ jak sam mówi, nie byłby sobą, gdyby znowu czegoś nie wymyślił, już planuje nowe biegowe wyzwanie. Na razie nie chce zdradzać, gdzie powiodą go mapy i nogi, choć na swoim facebookowym profilu wrzucił post-zagadkę, z którego wynika, że może chodzić o obiegnięcie Lublina.

Poza kreatywnym zadaniem biegowym w najbliższym czasie planuje przebiegnięcie największych europejskich maratonów. Na razie ma na koncie pięć. Szósty będzie kwietniowy maraton w Hamburgu.

Naukowcy z Lublina sprawdzają, co się dzieje w głowie kierowcy

Adrianna Romanek
Lublin

Czy nadmiar ekranów w samochodach pomaga kierowcom, czy raczej przeszkadza? Naukowcy z Politechniki Lubelskiej sprawdzają, co dzieje się w mózgu kierowcy.

Naukowcy z Politechniki Lubelskiej „zaglądają” do głowy kierowcy, by - jak podkreślają - drogi były bezpieczniejsze.

Badania prowadzone są na symulatorze jazdy, który przypomina prawdziwy samochód. Jest kierownica, pedały, manualna i automatyczna skrzynia biegów oraz pełen pakiet nowoczesnych rozwiązań: system infotainment z nawigacją, multimediami, klimatyzacją i ekranami pokładowymi. Trzy duże monitory odwzorowują sytuację drogową, a zaawansowana telemetria zbiera

dane o każdym ruchu kierowcy. Prawdziwa rewolucja dzieje się jednak na głowie kierowcy.

Uczestnicy badań zakładają specjalny czepek NIRS, który mierzy aktywność mózgu przy użyciu światła podczerwonego. To unowocześniona wersja aparatury, która poleciała w kosmos na Międzynarodową Stację Kosmiczną wraz ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim.

- Technologia NIRS pozwala obserwować przepływ krwi natlenionej i nienatlenionej w mózgu. Dzięki temu możemy ocenić, które obszary są aktywne, jak długo i z jaką intensywnością - wyjaśnia mgr inż. Radosław Piątek z Zakładu Neuronauki Konsumentckiej Wydziału Zarządzania Politechniki Lubelskiej.

Zestaw pomiarowy składa się z czepka z optodami, nadajnika, odbiornika, laptopa steru-



Badania prowadzone są na symulatorze jazdy, który przypomina prawdziwy samochód

jącego oraz specjalnych szelek stabilizujących całość podczas jazdy.

Ekran kontra koncentracja

W badaniach wzięło już udział 24 kierowców. Każdy

z nich pokonywał tę samą trasę w symulatorze dwukrotnie: raz z włączonym systemem infotainment, a raz bez niego. Wyniki okazały się jednoznaczne. Z badań wynika, że kiedy ekran był aktywny, uwaga kierowców wyraźnie się rozpraszała. Czę-

ściej najeżdżali na przeszkody, zahaczali o bandy, a ich wzrok „uciekał” od drogi. Jednocześnie pomiary mózgu pokazywały znacznie wyższy poziom aktywacji.

- Kolor czerwony oznacza większą obecność krwi natlenowanej, czyli silniejsze zaangażowanie danego obszaru mózgu. Niebieski wskazuje na mniejszą aktywność. Te różnice pozwalają nam wnioskować, jak bardzo mózg jest obciążony podczas jazdy - tłumaczy badacz.

Jak więc jeździć bezpiecznie?

Eksperti radzą, by wszystkie ustawienia - trasę w nawigacji, temperaturę i muzykę przygotować jeszcze przed ruszeniem. Manipulowanie ekranem w trakcie jazdy znacząco obniża koncentrację.

Ważny jest także odpoczynek, regularne przerwy w trasie oraz ograniczanie liczby

bodźców. Bo ekran to tylko jeden z rozpraszaczy. Migające powiadomienia, dźwiękowe alerty, rozmowy pasażerów czy emocjonalne dyskusje potrafią skutecznie oderwać uwagę od drogi. Do tego dochodzą bodźce z zewnątrz: krzykliwe reklamy, hałas, nieprzewidywalne sytuacje na ulicy czy chodniku.

W Lublinie w przypadku przejść dla pieszych większą uwagę warto zwrócić na ul. Nadbystrzycką, w rejonie Lidla, gdzie regularnie dochodzi do groźnych zdarzeń z udziałem pieszych oraz użytkowników hulajnóg i rowerów.

- We wszystkich tych miejscach mamy do czynienia ze spiętrzeniem bodźców. Mózg kierowcy jest wówczas szczególnie obciążony, co może prowadzić do opóźnionej reakcji lub błędnej interpretacji sygnałów z otoczenia - komentuje Radosław Piątek.

ATAK ZIMY Z POWODU OPADÓW ŚNIEGU, PO ULICACH JEŹDZI SIĘ DUŻO WOLNIEJ I TWORZĄ SIĘ KORKI

Zamość wzywa wojsko na pomoc

Bogdan Nowak, AR
Zamość/Lublin

W Zamościu sytuacja z zimowym utrzymaniem miasta zrobiła się tak zła, że władze samorządowe - za pośrednictwem wojewody - w środę zwróciły się do wojska z prośbą o pomoc.

- Przestało padać. Jeszcze raz objechałem miasto. Większość ulic jest odśnieżona. Służby nadal pracują. Prognozy pokazują, że około północy nadejdzie kolejna fala opadów” - napisał w mediach społecznościowych Rafał Zwolak, prezydent Zamościa. - Dzisiaj rano na posiedzeniu sztabu kryzysowego podjęliśmy decyzję o ewentualnym wsparciu żołnierzy WOT. W tym celu wystosowałem pismo do Wojewody Lubelskiego”.

Zamojskie ulice były i nadal są posypywane solą i solanką, a chodniki oraz m.in. przejścia dla pieszych i przystanki - piaskiem. To jednak, jak na razie, szybyfowe prace. - To co zostało odśnieżone po kilku godzinach



FOT. FB RAFAŁA ZWOLAKA

Śnieg na ulicach Zamościa. „To co zostało odśnieżone, po kilku godzinach opadów ponownie jest zasypane” - napisał prezydent miasta

opadów, ponownie jest zasypane - napisał w mediach społecznościowych prezydent Zamościa. - Jeżeli opady będą nadal silne, wojsko pomoże nam w odśnieżaniu placówek oświatowych, szpitali.

W piśmie do Krzysztofa Komorskiego, wojewody lubelskiego, czytamy m.in. „Zwracam się z wnioskiem o udzielenie wsparcia przez Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej w sile 100 żołnierzy Wojsk Obrony Te-

rytorialnej, w związku z intensywnymi opadami śniegu występującymi na terenie Miasta Zamość. Opady śniegu trwają nieprzerwanie od północy dnia dzisiejszego (tj. 7.01.2026 r.) i powodują narastające trudności w funkcjonowaniu miasta” - czytamy w piśmie prezydenta do wojewody.

Odpowiedź przyszła w czwartek przed południem: „W związku z wystąpieniem intensywnych opadów śniegu

w województwie lubelskim, powodujących poważne utrudnienia komunikacyjne oraz realne zagrożenie dla bezpieczeństwa mieszkańców, na wniosek Wojewody Lubelskiego, Dowódca 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej wydzielił siły i środki do wsparcia działań prowadzonych przez służby cywilne na terenie miasta Zamość” - czytamy w komunikacie 2. Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej. Stało się

to na wniosek prezydenta tego miasta.

Do pomocy mieszkańcom Zamościa ma być skierowanych „do stu żołnierzy” 25 Zamojskiego Batalionu Lekkiej Piechoty. Będzie się ich kierować w różne miejsca, „w zależności od rozwoju sytuacji pogodowej oraz bieżących potrzeb” zgłaszanych przez służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo mieszkańców Zamościa.

W Lublinie korki i opóźnienia komunikacji

Nocne opady śniegu spowodowały, że w Lublinie w czwartkowy poranek ruch samochodowy był wyraźnie spowolniony. Kierowcy jeździli wolniej, ale dzięki temu bezpiecznie. Mimo trudnych warunków na drogach, policja nie odnotowała wzrostu liczby kolizji. Ale tworzyły się korki na niemalże wszystkich ulicach wyjazdowych z dzielnic mieszkaniowych.

- Standardowo, jak codzień, moje dziecko miało jechać z mężem do przedszkola. Apli-

kacja pokazująca godziny odjazdów autobusów informowała o kolejnych opóźnieniach. Lepiej więc było liczyć na własny samochód - napisała na naszym Facebooku pani Aneta.

Jak wczoraj informował Zarząd Dróg i Transportu Miejskiego w Lublinie, prace w ramach zimowego utrzymania miasta rozpoczęły się w środę o godz. 19:00, a w pełnym wymiarze o północy. Obecnie na ulicach Lublina pracuje 40 pługosolarek oraz 18 traktorów z pługami. Dodatkowo działają 22 trzyosobowe brygady ręczne - podał ZDiTM w czwartek przed godziną 11.

- Ruch na mieście odbywa się wolniej, ale komunikacja miejska kursuje z kilkuminutowymi opóźnieniami, bez większych utrudnień. Priorytetem są przystanki w centrum oraz miejsca parkingowe w Strefie Płatnego Parkowania - informuje Monika Fisz, rzecznik ZDiTM.

Koszt akcji odśnieżania z ostatniej doby wyniósł w Lublinie ponad 440 tys. zł. Spręż pracował łącznie 386 godzin, zużyto 259 ton soli i 84 tony piasku.

Zasiłek pogrzebowy od 1 stycznia wynosi 7 tys. złotych

Urszula Sobol
redakcja@kurierlubelski.pl

Od 1 stycznia 2026 roku zasiłek pogrzebowy wzrósł z 4000 do 7000 zł. Ta kwota ma pokryć realne koszty pochówku osobom, które go organizują.

O zasiłek pogrzebowy mogą ubiegać się członkowie rodziny a także osoby nie spokrewnione czy instytucje, która poniosły koszty pogrzebu i je udokumentują. Wysokość zasiłku dla członków rodziny od 1 stycznia 2026 roku to 7 tys. zł niezależnie od wysokości poniesionych kosztów pogrzebu.

W sytuacji, gdy za pochówek zapłaci np. dom pomocy społecznej, gmina lub pracodawca, zasiłek przysługuje tym podmiotom w wysokości udokumentowanych kosztów pogrzebu, jednak nie więcej niż 7 tys. zł.

Jak rozlicza się koszty, gdy płaci kilka osób

- Zdarzają się sytuacje, gdy koszty pokryje więcej niż jedna osoba lub podmiot, wówczas zasiłek pogrzebowy ulega podziałowi między te osoby lub podmioty - proporcjonalnie do poniesionych kosztów pogrzebu.



FOT. 123RF

Od 1 stycznia rodzinie zmarłego ZUS wypłaca zasiłek pogrzebowy w wysokości 7 tys. zł

Aby otrzymać wypłatę zasiłku pogrzebowego, osoby obce muszą szczegółowo udokumentować poniesione wydatki do maksymalnie 7 tys. zł. Rachunek tylko za zakup trumny nie może być podstawą do otrzymania zasiłku pogrzebowego, ponieważ resztę kosztów pogrzebu, w tym pochówku poniosł ktoś inny - wyjaśnia Wojciech Dyląg, rzecznik ZUS.

W przypadku, gdy koszty pogrzebu zostały pokryte przez kilka osób, zasiłek wypłacany jest proporcjonalnie dla każdej.

- Muszą to być wszystkie rzeczy i czynności niezbędne do dokonania pochówku. Wydatki związane z ceremonią kościelną są potwierdzone przez tę instytucję i uwzględniane do wypłaty zasiłku pogrzebowego. Faktura wystawiona tylko za kwiaty nie stanowi kosztów pogrzebu - dopowiada rzecznik ZUS.

12 miesięcy na rozliczenie kosztów

Rzecznik ZUS zwraca uwagę, że na zgłoszenie wniosku o zasi-

łek pogrzebowy jest 12 miesięcy od dnia śmierci o której przysługuje zasiłek. Jeśli ten termin nie zostanie dotrzymany, wówczas prawo nie przysługuje.

- Wyjątek stanowi sytuacja, gdy złożenie wniosku o zasiłek pogrzebowy w tym terminie nie było możliwe z powodu późniejszego odnalezienia zwłok lub zidentyfikowania osoby zmarłej albo z innych przyczyn całkowicie niezależnych od osoby uprawnionej - tłumaczy Dyląg.

W takiej sytuacji prawo do zasiłku wygasa po upływie 12 miesięcy od dnia pogrzebu, a dokumentem potwierdzającym te okoliczności jest zaświadczenie policji lub prokuratury, odpis z pełnego aktu zgonu lub inny dokument urzędowy potwierdzający przyczyny uniemożliwiające zgłoszenie wniosku.

Rzecznik zaznacza, że w razie donacji zwłok na cele naukowe sprawienie pogrzebu możliwe jest dopiero po przekazaniu rodzinie przez instytucję naukową szczątków osoby zmarłej po zakończeniu badań. - Z przyczyn, więc całkowicie niezależnych od osoby uprawnionej do zasiłku pogrzebowego nie ma ona możliwości zgłoszenia wniosku o wypłatę w ciągu ustawowych 12 miesięcy. Osoby uprawnione mogą, więc złożyć

wniosek o zasiłek pogrzebowy za pogrzeb tzw. symboliczny wraz z fakturami dokumentującymi poniesione koszty - dopowiada Wojciech Dyląg.

4000 zł na pogrzeb nie wystarczyło

Rozmawialiśmy z panem Adamem z okolic Jasła, który niedawno musiał zmierzyć się z trudnym zadaniem organizacji pożegnania swojej mamy. - Zasiłek w wysokości 4000 zł nie wystarczył na pokrycie wszystkich kosztów pogrzebu - wyjaśnia. - Sama usługa pogrzebowa, trumna, przygotowanie ciała, nekrologi, wiązanka na trumnę oraz przewiezienie ciała z domu do zakładu pogrzebowego i z zakładu do kaplicy kosztowały mnie ponad 6000 zł. Do tego trzeba doliczyć opłaty dla kościelnego, organisty, księdza, grabarza, a także zakup wienieców.

Organizacja pogrzebu wiązała się ze sporym obciążeniem finansowym. - Dlatego uważam, że zasiłek w wysokości 7000 zł, który będzie obowiązywał od stycznia 2026 roku, to znacznie lepsze wsparcie niż dotychczasowe 4000 zł - podkreśla pan Adam.

Według niego, wyższa kwota pozwoli rodzinom zmarłych

choć częściowo opłacić rzeczywiste koszty pochówku i zmniejszyć stres związany z organizacją uroczystości.

7000 zł na pogrzeb - kwota wystarczająca?

Beata Sroka, kierownik jednego z zakładów pogrzebowych przyznaje, że dotychczasowy zasiłek w wys. 4000 zł nie wystarczał na pokrycie wszystkich kosztów pogrzebu.

- Teraz, gdy zasiłek pogrzebowy wynosi 7000 zł, przy przeciętnym pogrzebie kwota ta powinna wystarczyć, o ile nie pojawią się dodatkowe wymagania - wyjaśnia Beata Sroka. - Sama trumna kosztuje średnio od 1750 zł w górę. Do tego dochodzą koszty przewiezienia ciała z domu lub szpitala, przechowania w chłodni, przygotowania grobu, a w przypadku braku grobu rodzinnego - opłaty za nowe miejsce pochówku.

Zasiłek 4000 zł był zdecydowanie za niski. - Nie pokrywał podstawowych kosztów pogrzebu, wydatków na kwiaty, obsługę ceremonii czy wynagrodzenie dla księdza lub mistrza ceremonii pogrzebowej.

Obecna kwota 7000 zł znacząco ułatwi rodzinom opłacenie kosztów przeciętnego pogrzebu. Ale czy wystarczy?...

SŁOWO ROKU 2025

Decyzją kapituły Słowem Roku 2025 został „dron”, na drugim miejscu znalazło się „weto”, a na trzecim – „kosmos”. Z kolei w plebiscycie internautów zwyciężył „kosmos”, drugi był „dron”, trzecie – „weto”. Plebiscyt organizowany jest przez Instytut Języka Polskiego UW oraz Fundację Języka Polskiego od 15 lat. Co roku wybierane są w nim słowa, które najlepiej odzwierciedlają ważne tematy i wydarzenia minionych 12 miesięcy.

POLSKA
i ŚWIATSpotkanie prezydenta
z premierem. Będzie przełom?

Dorota Kowalska
Warszawa

Relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych. Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem może choć trochę ostudzić złe emocje, zwłaszcza że Polacy mają już dość tego ciągłego politycznego sporu.

To może być ważny moment w relacjach Pałac Prezydencki – Kancelaria Premiera. Jeszcze w tym tygodniu, prawdopodobnie dzisiaj, premier Donald Tusk spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim. Panowie mają rozmawiać o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni, sporach o nominacje ambasadorskie, w tym kandydatury Bogdana Klichy i Ryszarda Schnepfa, ale tematów, które powinni omówić, jest dużo więcej.

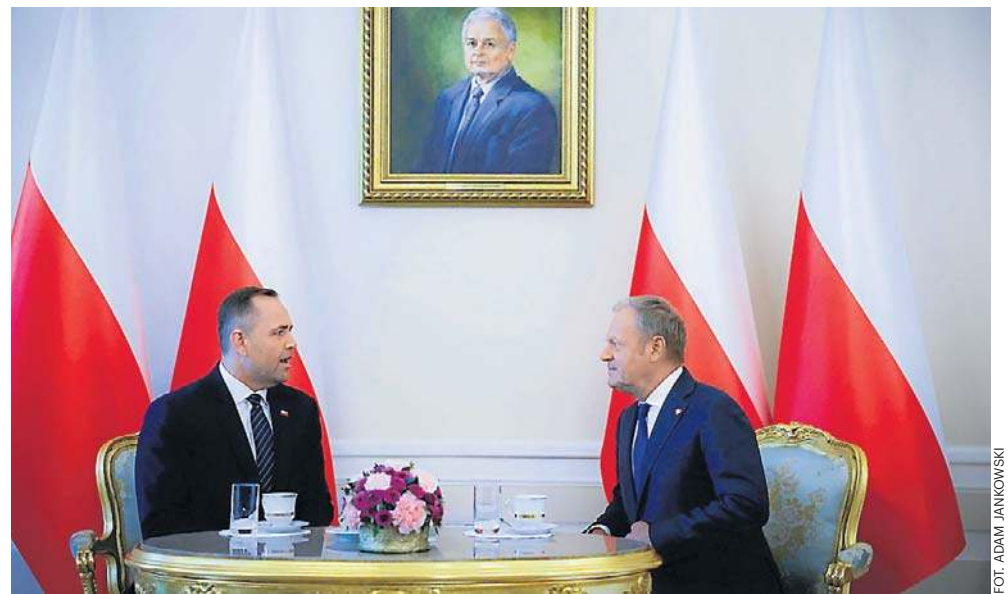
- Liczę, że prezydent Nawrocki skończy pięciomiesięczną politykę sabotażu działań rządu, zwłaszcza w sprawach, które są dla państwa polskiego w tej chwili najważniejsze, czyli w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa – mówił w Porannej rozmowie w RMF FM Marcin Bosacki, wiceszef MSZ i poseł Koalicji Obywatelskiej.

Stwierdził, że prezydent od miesiąca unika kontaktu z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Od równo trzech miesięcy prezydent Nawrocki nie odpowiada na propozycję kompromisu w sprawie ambasadorów, sformułowaną na piśmie przez ministra Sikorskiego, po osobistej zresztą rozmowie między oboma panami. Miejmy nadzieję, że tego typu działania sabotujące się skończą – dodał Bosacki.

Dopytywany, w jaki sposób premier Donald Tusk chce dogadać się z prezydentem, podkreślił, że padnie zapewne „daleko idąca propozycja kompromisowa”, podobna do tej, jaką przedstawił już minister Sikorski.

- Rozumiemy spory polityczne, ale w kwestiach dla Polski najważniejszych, czyli bezpieczeństwa (...) i nowej polityki Stanów Zjednoczonych, (...) wreszcie będzie otwarcie i rozmowa dorosłych ludzi o najważniejszych



FOT. ADAM JANKOWSKI

Ostatnio prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk spotkali się w sierpniu ub. roku

problemach Polski – podsumował wiceminister.

Z kolei wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, także wczoraj rano w stacji RMF24, wezwał prezydenta Karola Nawrockiego, by ten podpisał ustawę o usługach cyfrowych (będącą implementacją unijnego rozporządzenia DSA, Digital Services Act).

- Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiegokolwiek kontroli państwa. Mam głęboką nadzieję, że prezydent podpisze ustawę o usługach cyfrowych. To dobra ustawa – przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona.

Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawłowski jest „do dyspozycji prezydenta”.

Jednym z głównych i wzburzających największe kontrowersje zapisów ustawy jest wprowadzenie zasad moderacji treści w internecie.

- Dziś treści są usuwane na mocy decyzji samych platform. Znikają posty, komentarze, czasem całe profile (jak kiedyś Konfederacja). Polskie państwo nie miało żadnego startu do tych platform – mówił Gramatyka.

Podkreślił, że jeśli nowe prawo weszłoby w życie, to od każdej takiej decyzji przysługiwałoby odwołanie do organu państwowego, konkretnie Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie został stwo-

rzony specjalny departament.

Wiceminister odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę.

- Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana – tłumaczył.

Gramatyka wyjaśnił, że jeśli UKE oflaguje jakąś treść i zwróci uwagę platformie cyfrowej, to jeśli użytkownik zwróci się do sądu, to dana publikacja nie będzie mogła zostać usunięta.

To tylko kilka spraw, które należy załatwić, a przecież na akceptację prezydenta Nawrockiego czekają kolejne ustawy, choćbyta o związkach partnerskich. Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefermaker już zapowiedział, że jeśli ta ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego, ten jej nie podpisze. Według prezydenckiego ministra nowe przepisy zrównują związki partnerskie z małżeństwem, a na to nie ma zgody.

Tymczasem, według sondaży Polacy mają już dość sporu na linii prezydent Nawrocki – rząd. O to, jak napięta atmosfera między

dzy premierem a prezydentem wpływa na państwo, zapytano w sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski.

„Czy Pana/i zdaniem konflikt pomiędzy premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Karolem Nawrockim prowadzi do paraliżu państwa i uniemożliwia wprowadzanie koniecznych reform?” – brzmiało pytanie.

Zdecydowana większość respondentów – w sumie aż 76 proc. – odpowiedziała na nie twierdząco. O tym, że kłótnie naszczycie działają na niekorzyść państwa, przekonanych było 34 proc. ankietowanych, a odpowiedź „raczej tak” wybrało 42 proc. uczestników badania.

Co ciekawe, Polacy nie wierzą jednak, że stosunki między dwoma pałacami ulegną poprawie.

Z badania United Surveys by IBRIS na zlecenie Wirtualnej Polski, przeprowadzonego zaledwie dwa dni temu wynika, że 84,8 proc. ankietowanych przewiduje złe relacje między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim. Najczęściej wskazywaną odpowiedzią było stwierdzenie, że relacje prezydenta z premierem będą „zdecydowanie złe”, co zadeklarowało 44,3 proc. badanych. Kolejne 40,5 proc. uważa, że będą „raczej złe”.

Wiarę w dobrą współpracę deklaruje jedynie 10,6 proc. respondentów.

Współpraca Adam Kiełar

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

Mamy

naszego Współpracownika doktora
Włodzimierza Jedlińskiego

Z serca składamy wyrazy współczucia

pracownicy Oddziału Ginekologiczno-Położniczego
i Noworodkowego SP ZOZ
w Hrubieszowie

W dniu 31 grudnia 2025 roku przeżywszy lat 89 zmarła



Ewa Gończyńska

lekarz pediatra

Msza św. pogrzebowa odprawiona zostanie
dnia 9 stycznia 2026 r. o godzinie 13:00 w kaplicy
cmentarnej przy ul. Lipowej w Lublinie

Pogrążona w smutku i żałobie
Rodzina

Panu
Ryszardowi Moczarskiemu
Przewodniczącemu Rady Osiedla Niepodległości

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Córki

składają

Rada Nadzorcza, Rada Osiedla, Zarząd
oraz pracownicy
Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „MOTOR”

Nie umiera ten, kto żyje w pamięci.

Koleżance radcy prawnemu

Jagodzie Furmaniak

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Mamy

składają

Koleżanki i koledzy z Biura Obsługi Prawnej
Urzędu Miasta Lublin



KRÓTKO

PIASECZNO

Dymisja po gwałcie na policjantce

Po tym, jak na jaw wyszły informacje dotyczące gwałtu na policjantce na terenie warszawskiego oddziału prewencji w Piasecznie, zdymisjonowany został zastępca dowódcy warszawskiego oddziału prewencji policji w Piasecznie. Informację tę podał RMF24.pl.

Wcześniej w tej jednostce miało dojść do gwałtu oraz innej czynności seksualnej na policjantce.

Powodem dymisji jest nienależyty nadzór nad podwładnymi.

O sprawie w środę, 8 stycznia, poinformowała jako pierwsza Telewizja Republika. W jednostce policji w Piasecznie miało dojść do libacji alkoholowej, po czym jeden z funkcjonariuszy miał zgwałcić młodszą koleżankę oraz zmusić ją do innej czynności seksualnej.

Podejrzany o dokonanie tego czynu został zawieszony w czynnościach służbowych, a sąd zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące.

AUGUSTÓW

Dźgnął nożem 6-letnią córkę

Sąd Rejonowy w Augustowie aresztował na trzy miesiące 41-latkę, który dźgnął nożem swoją sześciolletnią córkę.

Prokuratura poinformowała PAP, że do próby zabójstwa doszło 29 grudnia 2025 r. w Augustowie. 41-letni mężczyzna przyszedł do mieszkania byłej partnerki, w którym przebywały jego dzieci. Policja ustaliła, że wizyta mężczyzny nie wzbu-

dziła niepokoju kobiety, gdyż mężczyzna regularnie przychodził w odwiedziny. Jednak tym razem chwycił nóż kuchenny i zaatakował swoją sześciolletnią córkę. Dziewczynka trafiła do szpitala. Augustowski sąd aresztował mężczyznę na trzy miesiące. Sąd też postanowił umieścić go w zakładzie psychiatrycznym. Grozi mu kara dożywotniego więzienia.

Uniwersytet Medyczny w Lublinie z głębokim smutkiem i żalem zawiadamia, że w dniu 4 stycznia 2026 r. zmarł

mgr inż. Roman Szkodziak

Zastępca Dyrektora Administracyjnego, wieloletni Zastępca Dyrektora ds. Technicznych, emerytowany pracownik Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, człowiek o wspaniałej osobowości i wielkim talencie organizacyjnym, niezwykle zaangażowany i zawsze głęboko oddany sprawom Uczelni.

W uznaniu zasług uhonorowany m.in. Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz innymi medalami i odznakami za pracę zawodową i społeczną.

W osobie Zmarłego żegnamy człowieka cenionego i wielce zasłużonego dla całej społeczności akademickiej o uznanym autorytecie i ogromnej wiedzy.

Cześć Jego Pamięci!

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia oraz słowa wsparcia

Rodzinie i Przyjaciołom Zmarłego

składają

Władze Uczelni

oraz Społeczność Uniwersytetu Medycznego w Lublinie

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń,
bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

„Nie umiera ten,
kto trwa w pamięci i sercach bliskich”

Pani
dr hab. Katarzynie
Popik-Konarzewskiej,
prof. Akademii WSEI

oraz Jej Rodzinie

składamy
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Mamy



W tych bolesnych chwilach żałoby
pozostajemy z Państwem
w myślach i modlitwie.

Niech pamięć o Zmarłej
przyniesie otuchę i siłę w tym trudnym czasie.

Społeczność Akademicka
Lubelskiej Akademii WSEI

Z głębokim smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

Pani

Haliny Kaplar

mamy Pani Ady Zaorskiej,
Prezeski
Polskiego Stowarzyszenia Opieki Domowej
oraz
Członkini
Europejskiego Instytutu Mobilności Pracy.



Pani Prezes
oraz całej Rodzinie

składamy
najszczerze wyrazy współczucia,
słowa wsparcia i otuchy w tym trudnym czasie.

Łączymy się w bólu i żałobie,
życząc siły, spokoju
oraz obecności życzliwych ludzi.

Europejski Instytut Mobilności Pracy
(ELMI)
Polskie Stowarzyszenie Opieki Domowej
(PSOD)

Z głębokim smutkiem i żalem żegnamy

prof. dra hab. inż.

Stanisława
Skowrona

Odszedł Człowiek wielkiego formatu.
Wybitny naukowiec. Wspaniały kolega.
Wychowawca wielu pokoleń menedżerów
i kadr naukowych.
Przed wszystkim jednak osoba pełna ciepła
i życzliwości.

Profesor Stanisław Skowron w ciągu 48 lat pracy
na Politechnice Lubelskiej pełnił funkcje:
Prorektora ds. Studenckich, Dziekana Wydziału
Zarządzania, Kierownika Katedry Marketingu,
a następnie Katedry Strategii
i Projektowania Biznesu.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia



składają
Rektor, Senat i społeczność akademicka
Politechniki Lubelskiej

FOTOkomentarz tygodnia

7 STYCZNIA,
POZNAŃ

Nie jest aż tak zimno, by pisać o „zimie stulecia” (choć na Hali Izerskiej temperatura spadła do -31,7 st. C), ale na pewno tegoroczna zima to jedno z największych zaskoczeń tej dekady. Ostatnie zimy były ciepłe, wydawało się już, że duża część Polski śnieg będzie mogła oglądać tylko na starych zdjęciach, tymczasem teraz pokrywa śnieżna sięga nawet 35 cm. Ale dzięki temu możemy obserwować tak piękne zjawiska przyrody, jak tworzenie się kry. Na zdjęciu obok widać śryż (czyli załazek kry) na rzece Warta w Poznaniu

FOT. PAP/IAKUB KACZMARCZYK



5 STYCZNIA, NOWY JORK Uprorowadzony przez Amerykanów z domu w Caracas były prezydent Wenezueli Nicolás Maduro stanął przed sądem w USA. Prokuratorzy postawili mu i jego żonie zarzuty wysyłania narkotyków do Ameryki. Obalony przywódca nie przyznał się do winy. Jego rozprawa ruszy 17 marca

FOT. XNYSTAR MAX/IPX/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS



FOT. PAP/EPA/TERESA SUAREZ

6 STYCZNIA, PARYŻ Emmanuel Macron dyskutował z liderami krajów „koalicji chętnych” o gwarancjach dla Ukrainy, choć premier Danii Mette-Frederiksen pewnie woli dyskusję o gwarancjach dla Grenlandii



FOT. VALERY HACHE/APPE/EAST NEWS

7 STYCZNIA, SAINT-TROPEZ W nietypowej trumnie wykonanej z wikliny w swoją ostatnią drogę wyruszyła Brigitte Bardot. Aktorkę żegnały tłumy fanów, rodzina, ludzie sztuki, ale też polityki

NARODOWA LISTA

~~ZMARTWIEN~~

(KOLEJNOŚĆ PRZYPADKOWA)

1. ZDROWIE
2. BEZPIECZEŃSTWO
3. PIENIĄDZE
4. BEZPIECZEŃSTWO
5. PIENIĄDZE
6. ZDROWIE
7. PIENIĄDZE
8. ZDROWIE
9. BEZPIECZEŃSTWO

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYŁE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Byłe więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona eko-łożka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, przebrać się na urlop, upiec dwa ciasta – to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce.

– Prawie wszystko zrealizowałam! – wykrzykuje.

Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majówkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

– W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać – mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnierować.

– Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamano nóg ani rąk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać – opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmnijszym

szczegółach – w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć – umówmy się – poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 – najogólniej rzecz biorąc – był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietyowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły” (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły” i „zły” (łącznie o 1 pkt proc.), jak i „raczej zły” (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europej-

skiej” – ocenili autorzy badania.

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksę, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

– Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło – wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

– Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest – uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

– Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi – mówi.

W 2025 roku spędzili z dziećciakami wakacje na Majorce, kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

– Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok – zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęga Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły” (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

Pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respondentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły” (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż – w odbiorze Polaków – pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już sześć lat okres złej pasy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkował jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów” – podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był wpływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za – najogólniej rzecz biorąc – dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły” (19,7 proc., spadek o 6,9 pkt proc.).

Na tle pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego do-

bry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszcześć. On wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

– To się może wymknąć spod kontroli – uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

– Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porwać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach – przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtki nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRIS dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietyowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzątają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.

**PONAD TRZY PIĄTE BADANYCH
(62 PROC.) STWIERDZIŁO, ŻE ROK
2025 BYŁ DLA NICH DOBRY. ZALE-
DWIE 7,9 PROC. ANKIETOWANYCH
UZNAŁO GO ZA BARDZO DOBRY**



FOT. 123RF

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”, a 0,6 proc. „inne”.

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc - ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obec-

nego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie - mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak

wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jed-

nak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmieniła tego faktu, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne - tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnić w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki”.

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo - przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej - mówi. Odstawili słodycze, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty i lekarza to już niemal codzienność - mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczególności, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka miesięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwowa służba zdrowia. Czy to problem? Tak - mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito” wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się - taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawia-

nie sportu, starsze osoby stawiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem w mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną - mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół - opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy - opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszała na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy - opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach - mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

**POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ
NIEPOKOJĄ PROBLEMY
Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY
ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO
47,5 PROC. RESPONDENTÓW**

WARSZAWIANKA PRZEZ WIELKIE „W”. O NOWYCH ZASADACH PISOWNI OD 2026 ROKU

- Pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak – mówi dr Małgorzata Kułakowska, językoznawca z Uniwersytetu Rzeszowskiego

Urszula Sobol

Pani doktor, dlaczego zdecydowano się na takie zmiany zasad pisowni właśnie teraz?

Decyzję o zmianie zasad ortograficznych języka polskiego podjęła Rada Języka Polskiego, która w myśl „Ustawy o języku polskim” z 1999 roku, ma za zadanie wydawać opinie i doradzać w sprawach związanych z ochroną języka polskiego oraz dbać o poprawność językową. Zapowiedź zmian w zasadach pisowni ogłoszono w 2024 roku, dlatego nie powinny być zaskoczeniem. Tym bardziej że – jak czytamy w komunikacie Rady Języka Polskiego – większość wprowadzonych zmian była postulowana już od dłuższego czasu. Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów.

Co wpływa na decyzje dotyczące zmian w zasadach ortograficznych?

Błędne formy, jeżeli są często używane, wchodzą do uzusu. Wówczas instytucja, której celem jest dbanie o poprawność językową, czyli Rada Języka Polskiego, wprowadza zmiany w przepisach, by dostosować je do uzusu. W ten sposób innowacja, taka jak np. zwyczaj zapisywania wielką literą nazw mieszkańców miast, staje się nową normą. Warto zauważyć, że taka zmiana staje się niekiedy zakończeniem długiego procesu historycznego. Pisownia łączna „nie” z imiesłowami przymiotnikowymi to efekt tego, że uznajemy je za formy

niemal tożsame z przymiotnikami, w których „nie” jest pisane zawsze łącznie. Przeciętny użytkownik języka polskiego nie widzi różnicy pomiędzy takimi wyrazami, jak niewątpiący i niewątpliwy, choć pierwszy jest imiesłowem przymiotnikowym, a drugi – przymiotnikiem.

Czy nowe reguły bardziej porządkują pisownię, czy raczej ją komplikują?

W komunikacie zamieszczonym na stronie internetowej Rady Języka Polskiego możemy przeczytać, że wprowadzenie zmian w pisowni „przyniesie korzyść w postaci uproszczenia i ujednolicenia zapisu poszczególnych grup wyrazów i połączeń, eliminacji wyjątków, a także likwidacji przepisów, których zastosowanie nie jest z różnych powodów problematyczne, np. wymaga od piszącego zbyt drobiazgowej analizy znaczeniowej tekstu”. Zatem celem wprowadzenia zmian jest porządkowanie pisowni. Niemniej warto pamiętać, że wśród użytkowników języka polskiego są osoby, które skrupulatnie przestrzegają zasad ortograficznych i doskonale znają wszystkie wyjątki. Dla tych osób nowe re-

guły mogą być komplikacją, choć zapewne będą przestrzegać nowych przepisów ortograficznych. Zresztą większość osób wypowiadających się przeciwko reformie zarzuca jej twórcom „pójście na łatwiznę” czy „promowanie błędów”. Można przypuszczać, że dla tych osób znajomość skomplikowanych reguł jest wartością, a ich upraszczanie to negowanie tej wartości.

Czy obowiązujące od 1 stycznia zasady lepiej oddają to, jak Polacy faktycznie piszą?

Reforma była poprzedzona badaniami uzusu, czyli tego, jak faktycznie – nie zawsze zgodnie z normą – piszą Polacy. Językoznawcy informowali o tych badaniach w mediach, np. prof. Katarzyna Kłosińska mówiła o badaniach języka czasopiśm w TVN 24. W związku z tym na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. Należy dodać, że obecnie – dzięki temu, że wiele osób zamieszcza różne teksty w sieci (na forach dyskusyjnych, w mediach społecznościowych, itp.) – możemy analizować bardzo dużo tekstów i dzięki temu dość precyzyjnie ustalić, jak Polacy faktycznie piszą.

Czy można powiedzieć, że dziś użytkownicy internetu współtworzą normę językową?

Na pewno łatwiej badać pod kątem występowania innowacji teksty dostępne w sieci niż np. wypracowania uczniowskie, czy prywatną korespondencję użytkowników języka. Internet jest też powszechnie używanym medium, czyli próbki tekstów są reprezentatywne dla codziennej polszczyzny. Jednak nie każde powszechne zjawisko językowe, które pojawia się w sieci, jest aprobowane przez językoznawców. Warto wspomnieć o społecznej kampanii „Język polski jest ą-e”, której celem było uświadomienie Polakom, że znaki diakrytyczne, czyli wszystkie ogonki, są bardzo ważne i nie należy ich pomijać nawet w nieformalnej komunikacji. Zaniepokojenie budzą też takie elementy komunikacji językowej w internecie, jak np. emotikony. Wielu badaczy uważa, że zastosowanie ikonki informującej o czymś nastroju powoduje, że coraz trudniej jest opisać emocje słowami, a to zubaża język.

Czy zmiany ortografii budzą sprzeciw?

To pytanie z pogranicza lingwistyki i nauk społecznych. Na pewno osoby dobrze znające zasady ortografii i jednocześnie konserwatywne są przeciwnie wprowadzaniu nowych norm. Nie jest to jednak zjawisko wyjątkowe – każda zmiana budzi takie reakcje. Silne emocje wywołały także poprzednie zmiany w pisowni. I nie mówię tu tylko o ostatnich

zmianach dotyczących pisowni „nie” z imiesłowami. Bardzo duże spory toczyły się wokół prac nad zasadami ortograficznymi polszczyzny w okresie międzywojennym. Pierwsze propozycje zasad opracowane przez Polską Akademię Umiejętności powstały w 1918 roku – budziły jednak tak duży sprzeciw, że nie zostały wprowadzone w życie. Kolejna próba uporządkowania zasad pisowni podjęta w 1932 roku przez PAU również spotkała się z dużym oporem społeczeństwa. Dopiero zaangażowanie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i powołanie kilku komisji przyniosło rezultat w postaci opracowania zasad ortograficznych w 1936 roku. Jednak także wówczas wiele środowisk (np. literackich, dziennikarskich) zapowiadało bojkot wielkiej reformy ortografii. Zatem, jak widać, wszelkie odgórne zmiany czegoś, co większość ludzi uważa za niezmiennicze, zawsze budzą sprzeciw i emocje. Warto dodać, że w pisowni polskiej obowiązują cztery zasady: fonetyczna (w myśl której, wyrazy zapisujemy tak, jak je słyszymy, np. dom), historyczna (dotycząca pisowni ustalonej w związku z procesami rozwoju języka, które już się zakończyły. Ta zasada decyduje o pisowni takich wyrazów, jak np. góra, rzeka, harcerz, itp.), morfologiczna (w myśl której zapisujemy wszystkie formy wyrazu tak samo, bez względu na to, jak ten wyraz jest wyrażany, np. w wyrażeniu nóż słyszymy na końcu głoskę „sz”,

jednak zapisujemy ją jako „ż”, ponieważ w pozostałych przypadkach słyszymy już głoskę „ż”, np. noża, nożem, itd.) i konwencjonalna (umowna) – polegająca na zastosowaniu takich rozstrzygnięć, które nie mają oparcia w pozostałych zasadach. Zasada ta reguluje użycie wielkiej litery i pisownię łączną lub rozłączną poszczególnych wyrazów. Najnowsza reforma zmienia jedynie część reguł wynikających z tej ostatniej zasady. Przypuszczam, że dużo większe protesty budziłoby, postulowane przez niektórych, odejście od zasady morfologicznej na rzecz fonetycznej zapisu wszystkich wyrazów.

A jakie były najczęstsze błędy użytkowników języka, które wpłynęły na decyzje dotyczące tych zmian?

Najwięcej błędów pojawiało się w pisowni nazw mieszkańców. Użytkownicy często intuicyjnie stosowali wielką literę w nazwach mieszkańców miast i wsi na wzór nazw narodowości. Od 2026 roku zapis typu Rzeszowianin stał się poprawną i jedyną formą. Równie często błędne zapisy pojawiały się w zapisie cząstki „nie” z przymiotnikami w stopniu równym (łącznie) oraz wyższym i najwyższym (rozdzielnie). Od 2026 roku obowiązuje jednolita pisownia łączna, np. nienajlepszy, niewiekszy. Trudności sprawiało także stosowanie małych liter w nazwach, takich jak kawiarnie, restauracje czy obiekty architektoniczne, gdy nie traktowano ich jako nazw własnych. użyt-

*REFORMA BYŁA POPRZEDZONA
BADANIAMI UZUSU,
CZYLI TEGO, JAK FAKTYCZNIE
– NIE ZAWSZE ZGODNIE Z
NORMĄ – PISZĄ POLACY*



FOT. PAWEŁ DUBIEL

Małgorzata Kułakowska: - Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów

kownicy języka nierzadko nie potrafili określić, co jest nazwą gatunkową, a co już nazwą własną, stąd pojawiały się błędne zapisy typu Aleja Rejtana - na wzór nazwy Aleje Ujazdowskie.

Dlaczego uznano, że nazwy mieszkańców miast i dzielnic powinny być pisane wielką literą?

Jak wspomniałam wyżej, pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak. Taki zapis podkreślał ważny dla wielu osób związek z krajem czy regionem. Jednak użytkownicy języka polskiego często także zapisywali wielką literą nazwy mieszkańców miast, czy mniejszych jedno-

stek administracyjnych, podkreślając równie ważne związki z małą ojczyzną, np. Rzeszowianina z Rzeszowem. Warto zauważyć, że zmiana pisowni nazw mieszkańców miast, dzielnic i wsi była proponowana już w XX wieku. W 1963 roku opublikowano w „Przekroju” artykuł Walego Pisarka pt. „Zmiany w pisowni”, w którym autor zapowiadał między innymi wprowadzenie pisowni wielką literą nazw mieszkańców miast, wsi i dzielnic miejskich. Protesty czytelników spowodowały, że wycofano się m.in. z tych propozycji.

Jak zmiany w pisowni nazw własnych wpłyną na media, urzędy i szkoły?

Osoby tam pracujące powinny stosować nowe zasady - zwłaszcza w dokumentach urzędowych. Jeżeli chodzi o ocenę poprawności prac

uczniów (w tym egzaminu ósmoklasisty i maturalnego), to do roku 2030 obowiązuje okres przejściowy, kiedy nie uznaje się za błąd zapisu zgodnego ze starymi zasadami ortograficznymi. Uczeń musi jednak stosować te zasady konsekwentnie, czyli np. zawsze zapisywać nazwy mieszkańców miast małą literą. Myślę, że wiele zależy od tego, czy edytorzy tekstu, którymi posługują się dziennikarze i urzędnicy, zostaną wyposażone w słowniki zawierające nowe zasady pisowni. Jeżeli

tak się stanie, to dość szybko dostosujemy się do nowych zasad.

Czy możemy spodziewać się kolejnych zmian w ortografii w najbliższych latach?

To pytanie warto zadać członkom Rady Języka Polskiego. Myślę, że zbyt częste zmiany wywoływałyby duży opór społeczny. Z drugiej strony język polski zmienia się dziś bardzo dynamicznie, więc może na kolejną reformę będziemy czekać nieco krócej niż ostatnio.

*JĘZYK POLSKI ZMIENIA SIĘ DZIŚ
BARDZO DYNAMICZNIE,
WIĘC MOŻE NA KOLEJNĄ
REFORMĘ BĘDZIEMY CZEKAĆ
NIECO KRÓCEJ NIŻ OSTATNIO*

NIKTÓRE ZMIANY ZASAD PISOWNI POLSKIEJ, OBOWIĄZUJĄCE OD 1 STYCZNIA 2026 R.

● Pisownia wielką literą nazw mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi, np. Warszawianin, Zgierzanin, Ochocianka, Mokotowianin, Nowohucianin, Choczołowianin. Dopuszczenie alternatywnego zapisu (małą lub wielką literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, takich jak kitajec lub Kitajec, jugol lub Jugol, angol lub Angol.

● Wprowadzenie pisowni wielką literą nie tylko nazw firm, marek i modeli wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (samochód marki Ford i pod oknem zaparkował czerwony Ford).

● Wprowadzenie rozdzielnej pisowni części -bym, -byś, -by, -byśmy, -byście ze spójnikami, np. Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry.

● Ustanowienie pisowni łącznej nie- z imiesłowami odmiennymi (bez względu na interpretację znaczeniową: czasownikową lub przymiotnikową), tj. zniesienie wyjątku zezwalającego na „świadomą pisownię rozdzielną”.

● Ujednolicenie zapisu (małą literą) przymiotników tworzonych od nazw osobowych, bez względu na to, czy ich interpretacja jest dzierżawcza (odpowiadają na pytanie czyj?), czy też jakościowa (odpowiadają na pytanie jaki?), np. dramat szekspirowski, epoka zygmuntońska, koncert chopinowski. Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk) zakończone na -owy, -in(-yn), -ów będą mogły być zapisywane małą lub wielką literą, np. jackowe dzieci lub Jackowe dzieci, poezja miłoszowa lub poezja Miłoszowa, zosina lalka lub Zosina lalka, jacków dom lub Jacków dom.

● Wprowadzenie łącznej pisowni członu pół- w wyrażeniach: półzabawa, półnauka; półżartem, półserio; półspał, półczuwał oraz pisowni z łącznikiem w połączeniu typu: pół-Polka, pół-Francuzka (odniesionym do osoby będącej w połowie Polką, w połowie Francuzką).

● Dopuszczenie w parach wyrazów równorzędnych, podobnie lub identycznie brzmiących, występujących zwykle razem, trzech wersji pisowni:

- z łącznikiem, np. tuż-tuż; trzask-prask; bij-zabij;
- z przecinkiem, np. tuż, tuż; trzask, prask; bij, zabij;
- rozdzielnie, np. tuż tuż; trzask prask; bij zabij.

● W zakresie użycia wielkich liter w nazwach własnych: - w nazwach komet wprowadzenie zapisu wszystkich członów wielką literą, np. Kometa Halleya, Kometa Enckego;

- w nazwach obiektów przestrzeni publicznej wprowadzenie pisowni wielką literą stojącego na początku wyrazu aleja, brama, bulwar, osiedle, plac, park, kopiec, kościół, klasztor, pałac, willa, zamek, most, molo, pomnik, cmentarz itp. (przy utrzymaniu pisowni małą literą wyrazu ulica), np. ulica Józefa Piłsudskiego, Aleja Róż, Brama Warszawska, Plac Zbawiciela, Park Kościuszki, Kopiec Wandy, Kościół Mariacki, Pałac Staszica, Zamek Książ, Most Poniatowskiego, Pomnik Ofiar Getta, Cmentarz Rakowicki;

- wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników) w wielowyrazowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa

- wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników oraz wyrazów typu imienia) w nazwach orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych, np. Nagroda im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej, Nagroda Nobla, Nagroda Artystyczna Miasta Lublin, Nagroda Literacka Gdynia, Śląska Nagroda Jakóści, Nagroda Rektora za Wybitne Osiągnięcia Naukowe, Nagroda Newsweeka im. Teresy Torańskiej, Nagroda Wielkiego Kalibru, Mistrz Mowy Polskiej, Ambasador Polscy, Honorowy Obywatel Miasta Krakowa.

● Wprowadzenie jednolitej łącznej pisowni części niby-, quasi- z wyrazami zapisywanymi małą literą, np. nibyartysta, nibygotyk, nibyludowy, nibyorientalny.

przy zachowaniu pisowni z łącznikiem przed wyrazami zapisywanymi wielką literą, np. niby-Polak, quasi-Anglia.

● Wprowadzenie łącznej pisowni nie- z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi bez względu na kategorię stopnia, a więc także w stopniu wyższym i najwyższym, np. nieadekwatny, nieautorski, niebanalny.

Źródło: <https://rjp.pan.pl/> (Komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN z 10 maja 2024 r. wraz ze zmianami z 7 listopada 2025 r.)

Czy emocje, jakie towarzyszyły kilkanaście lat temu panu polskiemu debiutowi, „Sali samobójców”, są porównywalne do tych, jakie towarzyszą panu amerykańskiemu debiutowi, filmowi „Rocznica”?

Są różne. W przypadku „Sali samobójców” byłem kompletnie pozbawiony skorupy, jaką daje obycie i robienie filmów. To był mój pierwszy film. Szalenie mnie dotknął, bardzo mocno oddziaływała na mnie reakcja publiczności. Nie umiałem tego przefiltrować. To było emocjonalne zderzenie ze sobą dwóch pociągów. Dzisiaj jest pod tym względem lepiej. Mam więcej doświadczenia i wiem, po co robię pewne rzeczy. Tak. „Rocznica” jest moim anglojęzycznym debiutem i tak jest ten film traktowany w świecie. Jest to rodzaj innej kategorii kina. Ostatnio widziałem kompilację filmów reżyserów nieanglojęzycznych, w której znalazł się też fragment „Rocznicy”. Były to fragmenty raczej udanych filmów, co było dla mnie miłe. „Anniversary” [ang. tytuł „Rocznicy”] jest w stu procentach próbą hollywoodzką. Wjechałem prosto polską ciężarówką do hollywoodzkiego studia. Nie było żadnego brania jeńców, tylko zderzenie estetyki hollywoodzkiej z moją polską. Wychowałem się na filmach hollywoodzkich, dlatego łatwiej mi się rozmawiało z Amerykanami. Język, który próbowałem w „Sali samobójców” i w wielu reklamach, teledyskach, jest w Stanach zupełnie zrozumiały. Nie byłem dla nich zbyt arthouse’owy czy też zbyt europejski i enigmatyczny, gdyż mam rockandrollową wrażliwość. To ona ich zaciekała.

Najpierw napisał pan nowelę filmową „Rocznica”. Czy powstała z myślą o zagranicznym producencie, czy jednak polskim?

Gdy myślę o polskich filmach, zaczynam prowokować swój umysł, by myśleć o nich jak o amerykańskich. Czy film „Dług” Krzysztofa Krauzego mógłby być amerykańskim filmem? Tak. Dlaczego go nie zrobić dzisiaj na nowo? Czy „Wieża. Jasny dzień” Jagody Szela, fantastyczny intymny horror może być amerykański? Może być. Film Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą” też mógłby mieć wersję amerykańską. Otworzyło mi się w głowie, że nasze, dobrze przefiltrowane koncepty można połączyć z estetyką hollywoodzką, przełożyć na język angielski. Jestem podekscytowany takim myśleniem. Ciągłe siedzę w kulturze anglojęzycznej, przynajmniej od „Sali samobójców”. Ciągłe szukam sposobu przetłumaczenia naszej polskiej

WJECHAŁEM POLSKĄ CIĘŻARÓWKĄ DO HOLLYWOODZKIEGO STUDIA

– Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika – mówi Jan Komasa o pierwszym swoim amerykańskim filmie „Rocznica”

Piotr Samolewicz

i środkowoeuropejskiej wrażliwości na inne kraje...

Nie rezygnując z niej?

W ogóle. Wręcz przeciwnie, bo nie byłoby to sexy. Nie nie się się drewna do lasu, tylko trzeba wnieść polskie pierogi. Jednocześnie powiedzieć coś ciekawego o amerykańskości, to, czego oni sami nie widzą. Wziąłem moje/nasze doświadczenie wywiedzione z kina z PRL. W naszym DNA płyną sceny z Adamem Ferenzym i Januszem Gajosem, przesłuchujących Krystynę Jandę w „Przesłuchaniu” i zrobiłem w „Anniversary” podobną scenę. Najpierw jest miło, przesłuchujący chcą się zaprzyjaźnić z małżeństwem Ellen i Paula, jest gadanie o kawie, a potem przestaje być miło, bo na stole pojawiają się dokumenty o współpracy do podpisania. Chciałem zobaczyć też faszyzm z dziwną flagą, niby amerykańską, a wcale nie amerykańską.

Jak współpracowało się panu z amerykańską ekipą?

Początkowo chcieliśmy kręcić w Waszyngtonie, bo akcja „Rocznicy” dzieje się w tym mieście, ale Stany są drogie, a my nie mieliśmy takiego budżetu. Potem zrobiliśmy budżet na Kanadę, ale cały czas był ponad nasze możliwości, bo mieliśmy 11 mln dol. Wtedy padła rewolucyjna propozycja: co by się stało, gdybyśmy nakręcili w UE. Stało się na Dublinie, bo jedynym państwem anglojęzycznym w UE jest Irlandia, gdzie Hollywood kręci non stop, korzystając z unijnych upustów. W Irlandii Polacy są drugą narodowością, więc z Irlandczykami miałem najlepiej na świecie. Dogadywałem się z nimi także pod względem Guinnessa, którego po raz pierwszy piłem w Dublinie.



Jan Komasa ma w dorobku m.in. filmy: „Miasto ‘44”, „Sala samobójców”, „Boże Ciało”, „Sala samobójców. Hejter”

Natomiast z Amerykanami cały czas współpracuję, bo promujemy film. Amerykanie działają na bazie czegoś, co bym nazwał „momentum”. Momentum jest dla nich religią. Jest jak gotowość. Trzeba być cały czas gotowym na cokolwiek, co może się wydarzyć w twoim życiu. Nie mo-

żesz spokojnie umówić się na jakiś projekt, jak w Europie, tylko chodzić za nim, rozmawiać i wierzyć, że powstanie. Jeśli projekt będzie realizowany, tzn. że miałeś rację, a jeżeli nie, tzn. że jej nie miałeś. Nie wolno być sfrustrowanym, trzeba fake it till you make it, czyli udawać tak

TRZEBA BYĆ CAŁY CZAS GOTOWYM. BO NIE WIADOMO, KIEDY TEN POCIĄG PRZYJEDZIE. A GDY PRZYJEDZIE, TO ZATRZYMA SIĘ NA KRÓTKO

długo, aż coś się stanie. I na tym polegają Stany.

Cały Hollywood rządzi się tą zasadą momentum?

Tak. Nauczyła mnie ona tego, że trzeba być cały czas gotowym. Bo nie wiadomo, kiedy ten pociąg przyjedzie. A gdy przyjedzie, to zatrzyma się na krótko. Trzeba być gotowym na ten moment. Wskakujesz do pociągu, fantastycznie, mówiłem, że się tak wydarzy. Kiedy już jedziesz, nie masz ani chwili odpoczynku. Tak też się stało z „Anniversary”. Tak długo jeździłem od premiery „Sali samobójców” do Stanów, aż się okazało, że jesteśmy z „Bożym Ciałem” [trzeci film fabularny w dorobku reżysera – ps] na short liście do Oscarów, potem dostaliśmy nominację. I wtedy obejrzałem się za ramię i zobaczyłem, że złoty pociąg stoi na stacji. Stał tylko 3 minuty. Producenci rozdzwonili się do mnie z pytaniem, co mam? Miałem jeden z wielu projektów o nazwie „Rocznica”. Opowiadał on o rodzinie, która co roku spotyka się w jednym miejscu dla uczczenia różnych rocznic, a w tym czasie zaczyna zmieniać się system polityczny, tak jak w latach 30. w Niemczech przed nocą kryształową. Pomysł spodobał się. Kupili go ode mnie w 2019 roku. Parę miesięcy później pracowałem nad nim ze scenarzystką wyłonioną w castingu, Lorie Rosene-Gambino. W czerwcu 2020 roku mieliśmy gotowy tekst. Jeszcze na fali popularności „Bożego Ciała” podtrzymanej przez sukces „Hejtera”, który jako pierwszy polski film wygrał Tribeca Film Festival, scenariusz „Rocznicy” trafił na biurko Diane Lane i stał się pierwszym jej producenckim projektem. Gdy zgodziła się na ten film, zgodzili się też inni, w tym znani aktorzy.

Czy „Rocznica” jest filmem politycznym, czy filozoficznym, alegorycznym?

Jest to film pseudopolityczny. Tworzymy w nim swoją własną rzeczywistość, dlatego nazywamy go dystopią. Ona jest prawie jak nasza, ale nie do końca, bo przesunięta. Tworzymy korytarz dla widza między dzisiejszą rzeczywistością a rzeczywistością na ekranie. Tworzymy fragment wolności dla wyobraźni widza, by wypełnił ten korytarz sobą, swoimi strachami, lękami. Tak jest pomyślana każda dystopia. W „1984” Orwella widzimy ten sam zabieg. Każda opcja polityczna, zarówno lewicowa, jak i prawicowa, może traktować „1984” Orwella jako fantastyczną książkę o tym, jak nasi oponenci mogą doprowadzić nasz kraj

do upadku. Dlatego że dystopia pokazuje zmyśloną rzeczywistość, ale mając pewne cechy prawdopodobieństwa. Tak też jest pomyślany mój film, by spowodować efekt zwany incredible valley (niesamowitą doliną), kiedy odczuwamy niepokój, że prawie coś znamy, ale nie do końca. Można to przyrównać do spotkania człowieka, który niby jest podobny do nas, ale ponieważ ma troje oczu, to nas przeraża. W moim filmie pokazujemy niby flagę Stanów Zjednoczonych, ale jest ona nieco inna, niż powinna być. Z tego powodu nasz mózg się buntuje i próbuje znaleźć rozwiązanie, dlaczego tak się dzieje.

I znów pokazuje pan młodych bohaterów, którzy działają radykalnie, ostro. Z czego czerpie pan ten motyw: z własnego życia, literatury, kultury?

Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika, a to wywrócenie odbywa się z wykorzystaniem najbliższych osób. Polacy wiedzą, czym są zmiany polityczne, bo przez ostatnie 120 lat mieliśmy wiele różnych zmian, a każda sobie przeczyła, jak kapitalizm zaprzecza komunizmowi. Moi dziadkowie, moi rodzice przeżywali co 20-30 lat totalną zmianę, zastanawiali się, po co uczyć się jednego systemu, skoro zaraz przyjdzie następny. I to w Polakach wytworzyło tolerancję na zmiany. W „Rocznicy” zmiana jest przez duże „Z” i oznacza jakąkolwiek zmianę. Zmiany mają to do siebie, że korzystają na nich sfrustrowani i skrzywdzeni, ci, którym nie wyszło w poprzednim systemie. Kto podejmuje pomysł wywrócenia stolika? Ci, którzy nie dostali się w piątek na urodziny kogoś ważnego, bo nie zostali na nie zaproszeni. Ci odrzuceni teraz wracają i tak ustawiają rzeczywistość, że nie będą nikogo wpuszczać na urodziny. Chcą poczuć się tak jak ci, których nienawidzą za to, że nie zostali przez nich kiedyś dopuszczeni.

Czy polski kontekst jest ważny?

Bardzo ważny. Recenzenci amerykańscy podkreślają, że o tym filmie można różnie myśleć, ale trzeba dać kredyt zaufania reżyserowi z Polski, który jeśli nie przeżył tego na własnej skórze, to na pewno przeżył to jego rodzice. Ma to w DNA. Jeśli ktoś coś ma do powiedzenia o autorytaryzmach, to właśnie on. W wielu amerykańskich recenzjach pojawia się mój biogram, który legitymizuje ten film. Amerykanie oglądają Stany Zjednoczone odbite w polskim lustrze.

KALENDARZ FILMOWY NA ROK 2026. NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, NA KTÓRE CZEKAJĄ KINOMANI

Kino zdaje się przegrywać w rywalizacji ze streamingiem i oglądaniem filmów o dowolnej porze z domowej kanapy, ale ciągle powstają produkcje, których jakość można w pełni docenić właśnie na wielkim ekranie. A i wspólne doświadczenie kinowej publiczności trudno zastąpić rozleniwieniem pod ciepłym kocem. Oto najważniejsze produkcje filmowe, na które czekają kinomani w rozpoczętym 2026 roku

Dariusz Pawłowski

Jeszcze w styczniu do kin trafi najnowszy film Jima Jarmuscha, zatytułowany „Father Mother Sister Brother”. To historia skłóconego rodzeństwa, które spotyka się po latach, co zmusza ich do ponownego przeanalizowania swoich trudnych relacji z emocjonalnie zdystansowanymi rodzicami. W obsadzie: Cate Blanchett, Adam Driver, Vicky Krieps, Charlotte Rampling.

Styczeń

Także w styczniu zobaczymy najnowsze dzieło Chloé Zhao, laureatki Oscara za „Nomadland”. To dramat „Hamnet”, którego akcja rozgrywa się w Anglii roku 1580. Nauczyciel łaciny William Szekspir poznaje Agnes, która zostaje jego żoną i rodzi trójkę dzieci. Gdy Will wyrusza do Londynu, aby rozwinąć swoją karierę teatralną, Agnes zostaje sama ze wszystkimi domowymi obowiązkami. Niespodziewanie umiera jedyny syn pary, Hamnet, a silna więź między małżonkami zostaje poddana próbie. Występują: Jessie Buckley, Paul Mescal, Emily Watson.

Polską kinematografię w styczniu reprezentuje film „Wielka Warszawska” (reż. Bartłomiej Ignaciuk) do scenariusza Jana Purzyckiego, zmarłego w 2019 roku artysty (tytuł miał być domknięciem trylogii autora, na którą składają się także filmy „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”). Młody dżokej Krzysiek marzy o triumfie w Wielkiej Warszawskiej. W świecie wyścigów odkrywa jednak układy i korupcję. W czasie przemian ustrojowych musi wybrać między czystą pasją a pokusą szybkiej kariery. W rolach głównych: Tomasz Ziętek, Mirosław Kropielnicki, Andrzej Konopka, Ireneusz Czap.

Luty

W lutym widzowie zobaczą film „Piep*zyć Mickiewicza 3” (reż. Sara Bustamante-Drozdak). W trzeciej części serii młodzi bo-

haterowie przygotowują się do matury, ale i muszą podejmować pierwsze dorosłe wybory. Kiedy Dante próbuje pogodzić własne marzenia z rzeczywistością, a jego relacja z Nel zostaje wystawiona na próbę, do gry wkracza tajemniczy Adam. W tle - powrót Korka, nowe uczucia Cegły i pytania o przyjaźń. Grają: Hugo Tarres, Wiktoria Koprowska, Karol Rot, Dawid Ogrodnik.

Emerald Fennell proponuje nową ekranizację „Wichrowych wzgórz” Emily Brontë - pamiętnej historii miłosnej osadzonej na tle wrzosowisk Yorkshire, ukazującej intensywny i destrukcyjny związek między Heathcliffem a Catherine Earnshaw. W obsadzie: Margot Robbie, Jacob Elordi, Shazad Latif.

„Pojedynek” to thriller w reżyserii Łukasza Palkowskiego. Rok 1939. Tysiące Polaków trafiają do rosyjskiej niewoli, gdzie poddawani są indoktrynacji. Młody polski oficer przystępuje do pojedynku z bezwzględnym rosyjskim agentem o ich honor i życie. Występują: Jakub Gierszał, Aidan Gillen, Julia Pietrucha, Bogusław Linda, Tomasz Kot.

Marzec

W marcu do kin wejdzie horror „Panna młoda!” (reż. Maggie Gyllenhaal). Chicago, lata trzydzieste XX wieku. Samotny potwór Frankenstein prosi doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszk. Ożywają zamordowaną kobietę. To nowa interpretacja historii przedstawionej przez Jamesa Whale’a w 1935 roku. Na ekranie: Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening, Penélope Cruz, Jake Gyllenhaal.

Kwiecień

Kwiecień to premiera filmu „Michael” (reż. Antoine Fuqua). Opowieść o życiu i karierze Michaela Jacksona - od czasów, gdy w latach 60. i 70. XX wieku był członkiem zespołu Jackson 5, aż po ostatnie tygodnie życia



Zobaczymy aż dwie ekranizacje „Lalki” Bolesława Prusa

przed jego śmiercią w 2009 roku. W rolach głównych: Jaafar Jackson, Nia Long, Colman Domingo.

Maj

W maju kinomani zobaczą film „Diabeł ubiera się w Prady 2” (reż. David Frankel). Miranda Priestly walczy ze swoją byłą asystentką Emily, a obecnie rywalką na kierowniczym stanowisku. Konkurują o wpływy i przychody z reklam w czasach upadającej prasy papierowej. W obsadzie: Meryl Streep, Emily Blunt, Anne Hathaway, Stanley Tucci.

Kontynuacją jest również film „Mortal Kombat II” (reż. Simon McQuoid). Do legendarnych wojowników Ziemi dołącza Johnny Cage, by w śmiertelnym turnieju stanąć przeciwko Shao Kahnowi - tyranowi z innego wymiaru, który pragnie unicestwić ich świat. Grają: Karl Urban,

Hiroyuki Sanada, Lewis Tan, Jessica McNamee.

Do kin trafi w końcu kolejny film z uniwersum „Gwiezdnych wojen” (pierwszy od siedmiu lat) - „Mandalorian i Grog” (reż. Jon Favreau). Imperium upadło, w galaktyce panuje chaos. Nowa Republika, która stara się chronić wszystko, o co walczyła Rebelia, zwraca się o pomoc do legendarnego mandaloriańskiego łowcy nagród, Dina Djarina i jego młodego ucznia, Grog. Występują: Pedro Pascal, Sigourney Weaver, Jeremy Allen White, Steve Blum.

Czerwiec

W czerwcu miłośnicy fantasy otrzymają produkcję „Masters of the Universe” (reż. Travis Knight), powstałą na podstawie serialu animowanego „He-Man i władcy wszechświata”. Adam, na co dzień księżę Eterni, gdy zachodzi taka potrzeba, staje się he-

rosem znanym jako He-man. Tym razem wyrusza na wyprawę przeciwko potężnemu i okrutnemu Szkieletorowi, aby ocalić swoją planetę oraz uchronić sekrety Zamku Grayskull. W rolach głównych: Nicholas Galitzine, Camila Mendes, Alison Brie.

Nowy film Stevena Spielberga to „Dzień objawienia”. Gdybyś dowiedział się, że nie jesteśmy sami, gdyby ktoś ci to udowodnił, czy byś się przestraszył? - pyta reżyser. Występują: Emily Blunt, Josh O’Connor, Colin Firth, Eve Hewson, Colman Domingo.

Na widzów czekać będzie też animacja „Toy Story 5” (reż. Andrew Stanton, McKenna Harris). Kowboj Chudy wraz z przyjaciółmi mierzy się z nową technologią popularną wśród dzieci.

Ze świata DC Comics pochodzi produkcja „Supergirl: Woman of Tomorrow” (reż. Craig Gillespie). Kara wyrusza w podróż po galaktyce z okazji swoich 21. urodzin, towarzyszy jej pies Krypto, a po drodze poznaje Ruthy - młodą kobietę, która wciągnie ją w brutalną misję zemsty. W obsadzie: Milly Alcock, Jason Momoa, Matthias Schoenaerts.

Lipiec

W lipcu będzie można zobaczyć kontynuacje filmowych przebojów. To „Minionki 3” (reż. Pierre Coffin) oraz aktorska wersja animacji „Vaiana” (reż. Thomas Kail) - grają: Catherine Laga’aia, Dwayne Johnson, John Tui.

Christopher Nolan proponuje film „Odyseja”. To słynna historia Odyszeusza i jego niebezpiecznej podróży do domu po wojnie trojańskiej. Na ekranie: Matt Damon, Anne Hathaway, Zendaya, Tom Holland, Charlize Theron, Robert Pattinson, Lupita Nyong’o.

A miłośnicy ekranizacji komiksów czekać będą na film „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” (reż. Destin Daniel Cretton). Peter Parker stara się pogodo-

wać studia, dorywczą pracę i bycie miłym Spider-Manem z sąsiedztwa. Jednak gdy tajemnicza siła zaczyna niszczyć miasto od środka, Peter zostaje uwikłany w konflikt między potężnymi wrogami, a u jego boku stają niespodziewani sojusznicy. W obsadzie: Tom Holland, Sadie Sink, Zendaya, Jacob Batalon.

Sierpień

Na sierpień zapowiedziana jest trzecia część komedii Jaya Chandrasekhara „Straż wiejska” - występują: Jay Chandrasekhar, Paul Soter, Steve Lemme, Erik Stolhanske.

Wrzesień

A wrzesień to premiera produkcji „Avengers: Koniec gry” (reż. Anthony Russo, Joe Russo). Po wymazaniu połowy życia we Wszechświecie przez Thanosa, Tony Stark i Iron Man i Nebula utknęli na planecie Tytan. Kapitan Ameryka podejrzewa, że sygnał alarmowy przed niszczycielskimi wydarzeniami zablokował Nick Fury, aby w ten sposób móc wprowadzić posiłki. Avengersi nawiązują współpracę z Ant-Manem i Kapitanem Marvel, by podjąć walkę z Thanosem. Grają: Robert Downey Jr., Chris Evans, Mark Ruffalo, Chris Hemsworth, Scarlett Johansson, Jeremy Renner, Don Cheadle, Paul Rudd, Brie Larson.

To również premiera wyciekniętej polskiej produkcji - ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”, realizowanej przez Macieja Kawalskiego. Rozgrywająca się w drugiej połowie XIX wieku historia kupca Stanisława Wokulskiego, który zakochuje się do szaleństwa w zubożałej arystokratce Izabeli Łęckiej. W tej wersji występują: Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Marek Kondrat, Maja Komorowska, Maciej Stuhr, Andrzej Seweryn, Agata Kulesza, Karolina Gruska, Cezary Żak.

Listopad

W listopadzie na ekrany kin wejdzie produkcja „Igrzyska śmierci: Wschód słońca w dniu dożynek” (reż. Francis Lawrence). W roku Drugiego Czwierćwiecza Poskromienia na arenę trafia podwojona liczba trybutów. Wśród nich jest 16-letni Haymitch Abernathy z Dystryktu 12, który musi stawić czoła jeszcze brutalniejszym niż zwykle Głodowym Igrzyskom. W obsadzie: Joseph Zada, Whitney Peak, Ralph Fiennes, McKenna Grace, Jesse Plemons.

Grudzień

Jeszcze w grudniu zaś kinomani zobaczą filmy „Avengers: Doomsday” (reż. Joe Russo, Anthony Russo) i „Jumanji 3” (reż. Jake Kasdan). Wszystko wskazuje na to, że druga ekranizacja „Lalki” - w reżyserii Pawła Maślony z Sandrą Drzymalską, Tomaszem Schuchardtem i Magdaleną Cielecką trafi do kin dopiero w 2027 roku.

ANNA WENDZIKOWSKA: KU ZMIANIE, CZYLI GDZIE TYLKO CHCEMY

Chciałam osiągnąć sukces, bo wydawało mi się, że jest on tożsamy ze szczęściem, a okazało się, że nie. Dziś uważam, że szczęście wiąże się ze spokojem i wolnością życia na własnych zasadach – mówi Anna Wendzikowska, aktorka, dziennikarka, prezenterka telewizyjna, podcasterka

Anita Czapryn

Kiedy wzięłam do ręki Twoją najnowszą książkę „Ku zmianie. 102 nawyki świadomego życia”, pomyślałam: Ku zmianie? Czyli dokąd?

Gdzie tylko chcemy. Ta książka jest o tym, że jesteśmy twórcami własnego życia. I choć czasem mamy ochotę oddać ster komuś innemu, albo powiedzieć, że to ktoś inny jest winny, to ktoś nam coś zrobił i jesteśmy ofiarą, to prawda jest taka, że sami tworzymy swoje okoliczności. Oczywiście nie wszystkie. Ale przychodzi taki moment, kiedy możemy iść, dokąd chcemy. I to jest ważne: uznać, że miejsce, w którym jestem, jest w jakiejś mierze sumą moich decyzji. Czasem to trudne do przyjęcia, bo nie zawsze jesteśmy zadowoleni z tego miejsca. Ale ta świadomość daje wolność i sprawczość: skoro tu jestem, to mogę też pójść dalej; tam, gdzie chcę. Moja pierwsza książka „Ku szczęściu” była bardziej o budowaniu odpowiedzialności. Ta jest dodatkowo o tym, że sama świadomość nie wystarczy, że od niej nic się nie zmienia, jeśli nie idzie za nią działanie. Piszę więc o nawykach, także takich bardzo fizycznych, które poprawiają dobrostan: o śnie, jedzeniu, byciu w naturze. To proste rzeczy, które przywracają nas do korzeni, do bardziej naturalnego życia z ruchem, z oddechem, z przyrodą. I to naprawdę widać od razu: głowa zaczyna lepiej pracować, rosną zdolności poznawcze, kreatywność.

Kiedy Ty naprawdę poczułaś, że możesz iść, dokąd chcesz?

Najpierw wiedziałam, że mogę iść, gdzie chcę w sensie sprawczości. I chyba miałam to od zawsze. Tyle że ja tę sprawczość skierowałam w sukces, bo sukces skleił mi się ze szczęściem, spełnieniem, miłością. Wydawało mi się, że jeśli będę odnosić sukcesy, będę widziana, doceniana, kochana. To się brało z domu i z tej mojej lękowej potrzeby miłości. Moje szkolne i pozaszkolne osiągnięcia były momentami, kiedy czułam się zauważona. W do-

rośłym życiu to się połączyło w jeden mechanizm: sukces jako dowód, że zasługuję. Tylko że w pewnym momencie i to przyszło powoli, zaczęłam odkrywać, że sukces mnie nie wypełnia. Że nie satysfakcjonuje. Że zostawia mnie z głodem kolejnego. Nie umiałam się zatrzymać i docenić: „Dobra robota”, „Jestem dziś z siebie dumna”. Zamiast tego: następny cel, następny wynik, dalej. Powoli zaczęłam widzieć, że chyba nie o to mi chodziło. Że tak naprawdę chodzi mi o szczęście, spokój, harmonię, balans, poczucie spełnienia, tylko że wybrałam złe narzędzia. A trudno to zauważyć, kiedy jedzie się na automacie. I jeszcze, mówiąc kolokwialnie, na pełnej petardzie. Zatrzymał mnie ciąg wydarzeń; przede wszystkim związek, który dramatycznie się rozsyłał. To mnie zatrzymało na tyle, że zaczęłam się sobie przyglądać. Poszłam na terapię grupową DDA. To był początek poszukiwania wewnętrznego i odkrycia, że, okej, coś jest źle zaprogramowane. Wcześniej nie było na to miejsca; pędziłam, robiłam, osiągałam, więc nie było czasu ani przestrzeni, żeby pomyśleć, że może fundamentalnie coś jest nie tak ustawione. I paradoksalnie to było wyzwalające. Od tamtego momentu zaczęło się moje zatrzymanie i szukanie już nie tylko w jednym obszarze, ale we wszystkich: czy moje życie jest dobrze poukładane, czy ma sens, czy prowadzi do miejsca, do którego ja naprawdę chcę iść.

Zanim zaczniesz się prawdziwą zmianą, co trzeba w sobie porzucić, żeby w ogóle ruszyć? Jakie przekonania, jakie nawyki?

NAJLEPSZĄ NAUCZYCIELKĄ TEGO, ŻE NA KONIEC DNIA NIE MAM WPLYWU I NIE JESTEM ODPOWIEDZIALNA ZA EMOCJE INNYCH, JEST MOJA MŁODSZA CÓRKA

W książce piszę o nawykach do porzucenia, bo to jest, moim zdaniem, najważniejsze. Zanim zaczniemy nakładać na siebie nowe rzeczy, trzeba trochę przeczyścić wewnętrzny system operacyjny. Zawsze mówię: trudno od razu kłaść świeży lakier na zardzewiały samochód; to bywa zaproszeniem do katastrofy, tylko z opóźnionym zapłonem. Są takie modele funkcjonowania, które mamy właściwie wszyscy. Na przykład narzekanie: to jest coś, do czego jesteśmy przyzwyczajeni społecznie, ale też jest w tym neurobiologia: mózg naturalnie skupia się na negatywach, bo kiedyś to pomagało przetrwać. Dziś trzeba temu aktywnie przeciwdziałać, bo automat ciągnie w stronę narzekania i oceniania innych. W książce piszę też o pomaganiu na siłę, o zadowalaniu innych...

...o przejmowaniu się opinią ludzi.

Tak. Bo to wzmacnia negatywne ścieżki, utrwala określony sposób myślenia i widzenia świata, a do tego kosztuje mnóstwo energii i czasu. To się staje stylem życia, wręcz tożsamością.

Z czym Tobie było najtrudniej się rozstać?

Z kontrolowaniem. Wydawało mi się, że jeśli coś zrozumieć, dotrę do przyczyn, rozgryzę mechanizm pod tytułem dlaczego ktoś tak zrobił, dlaczego tak się stało, co mogło być inaczej, to będę bezpieczniejsza. Miałam mnóstwo takich rozkminiek. Odpuszczenie tej kontroli było dla mnie nauką akceptacji: puszczam to. Stało się jak się stało, taka jest rzeczywistość. Nic mi nie przy-

dzie z tego, że będę to mieć. A czasem nawet nie mam dostępu do odpowiedzi, bo proces decyzyjny wydarzył się poza mną. Kiedy zaczęłam puszczać, uwolniło się we mnie niewiarygodnie dużo energii. Wcześniej traciłam mnóstwo czasu na reminiscencje, w kółko myślenie o tym samym, bez żadnego ruchu do przodu. Pomogły mi medytacje: dobrze, odkładałam to na półkę, parkuję, zajmuję się czymś innym. Pamiętam, że jako nastolatka usłyszałam raz od mamy: „A możesz po prostu o tym nie myśleć?”. Wtedy brzmiało to dla mnie jak absurd, jak coś kompletnie niemożliwego. Dziś wiem, że to jest możliwe: przekierować myśli. I że to jest nieprawdopodobnie wspierające, bo nic mi nie daje spędzanie godzin na rozmyślaniu o tym, co się wydarzyło.

Dla mnie jednym z najtrudniejszych nawyków było przestać ciągle zadowalać innych. Pamiętam ten moment dumy, kiedy pierwszy raz świadomie powiedziałam „nie” i wytrzymałam to, że komuś było z tym niewygodnie.

U mnie najlepszą nauczycielką tego, że na koniec dnia nie mam wpływu i nie jestem odpowiedzialna za emocje innych, jest moja młodsza córka. Potrafi się obrazić o rzecz z pozoru banalną: ja czegoś nie dosłyszę, mówię: „Przepraszam, kochanie, czy możesz powtórzyć?”, a ona odpowiada: „Już nic”.

Oj, znam to! (śmiech).

To taki skrajny przykład. Probowałam wszystkiego, a ona i tak się obrażała. I w którymś momencie dotarło do mnie, że ja nie jestem w stanie naprawić tej sytuacji, bo ona po prostu potrzebuje czasu, żeby przetrawić swoje emocje. Metodą prób i błędów nauczyłam się, że jedyne, co mogę wtedy zrobić, to przyjąć to i powiedzieć: „Okej, jeśli masz taką potrzebę, proszę bardzo. Jak ci przejdzie, to wróć”. I ona naprawdę tego potrzebuje: pójść na górę, pobyc sama,

wyść gdzieś, a potem wrócić i powiedzieć „przepraszam”. To nie była jedna sytuacja, tylko cały ciąg doświadczeń, w których mogłam sprawdzać różne wersje swoich reakcji. I moja córka nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego: że mogę być okej z tym, że ktoś się na mnie obrazi, nawet jeśli nie zrobiłam nic złego. I że ja nic nie muszę z tym zrobić. Mogę tylko poczekać. Bo to są jej emocje i jej odpowiedzialność. To była najlepsza lekcja.

W Twojej książce poruszyłaś mnie metoda małych kroków, bo sama od lat jestem jej wyznawczynią. Ale od czego zacząć?

Po to jest ta książka. Zachęcam, żeby bawić się jej otwieraniem w miejscu, w którym sama się otworzy. Może akurat to będzie odpowiedź. Mam poczucie, że każdy ma szansę zacząć od czegoś innego. Dlatego napisałam 102 nawyki: nie ma znaczenia, od którego zaczniemy, bo dobre nawyki sprawiają, że zaczynamy o sobie lepiej myśleć i one potem pączkują. Gdybym miała doradzić coś uniwersalnego, zaczęłabym od ciała. Jednym z najbardziej podstawowych nawyków jest dbanie o sen. A żeby zadbać o sen, dobrze jest wyjść w naturę. Na przykład na poranny spacer. Budzę się, biorę psa, a jeśli go nie mam, to samą siebie zabieram na spacer. Świeże powietrze, ruch, natura. Patrę na drzewa, na trawę, na liście. Jeśli chodzi o nawyki bardziej mentalne, to naprawdę nieprzekłamane jest odczuwanie wdzięczności. Można to połączyć z nawykiem, który nazywam framing, czyli torowaniem. Chodzi o to, żeby przekierować i nastawić umysł na to, czego chcemy więcej w swoim życiu. Mnie bardzo dużo zmienił prosty rytuał: rano i wieczorem, albo choć raz dziennie, przywołać jedną rzecz, która była źródłem radości albo dumy. I nie tylko o niej pomyśleć, ale odtworzyć ją w głowie razem z emocjami, które wtedy czułam. Mam taką scenę, którą łatwo mi zwizualiz-

ować: moment, kiedy dostałam się do wymarzonego liceum i czytałam tablicę wyników. I to, jaką czułam wtedy radość, wdzięczność, ekscytację, same dobre emocje. To nastraja umysł na wyłapywanie takich sygnałów ze świata. Podobnie działa zapisywanie wieczorem trzech rzeczy, za które jestem wdzięczna: że wyszło słońce, że spotkałam się z przyjaciółką, że uśmiechnął się do mnie sąsiad, kiedy wychodziłam z klatki. To mogą być rzeczy ważne albo zwykłe, na pozór wydawałoby się głupotki. Chodzi o kierunek uwagi. I jeszcze jedno: zasypianie i budzenie się z czymś pozytywnym. Bo my bardzo często budzimy się i zasypiamy, myśląc o problemach: co dziś się nie udało, z czym jutro będę miała kłopot, co muszę zrobić, a jestem w niedoczasie. Skupiamy się na tym, a to nie przyspiesza rozwiązań. To tylko ustawia nas na widzenie świata przez pryzmat wyzwań. Dlatego zachęcam: te dwie minuty przed zaśnięciem albo tuż po przebudzeniu przeznaczyć świadomie na to, żeby pomyśleć o tym, co mi się ostatnio udało.

W książce piszesz o życiu w swojej prawdzie. Co to dla Ciebie znaczy żyć w swojej prawdzie?

Każdy z nas jest inny. Mamy swoje preferencje, swój rytm: ktoś jest introwertykiem, ktoś ekstrawertykiem; ktoś lubi naturę, ktoś chce żyć w mieście. Mamy też tempo, które nam służy, i mnóstwo uwarunkowań, które, jeśli chcemy żyć dobrze, musimy szanować. Ale są jeszcze rzeczy głębsze: wartości, którymi się kierujemy. I jeśli ich nie rozpoznamy, żyjemy cudzym życiem. Nawet jeśli ich świadomie nie nazywamy, one w nas są i pracują. A gdy żyjemy wbrew temu, co w nas, wbrew tej naszej prawdzie, prędzej czy później pojawia się rozdźwięk i nie jesteśmy szczęśliwi. Dlatego zachęcam do samopoznania: do pochylania się nad sobą i poznawania siebie. Kim jesteśmy? Co lubię? Co mnie cieszy? Czego nie akceptuję tu i teraz,



FOT. FOT. KRYSZTOF ADAMEK / MATPRAS.

Wendzikowska: Każdy z nas jest inny. Mamy swoje preferencje, swój rytm: ktoś jest introwertykiem, ktoś ekstrawertykiem; ktoś lubi naturę, ktoś chce żyć w mieście

ale też głębiej: jakie są moje wartości? Co muszę mieć, żeby czuć spokój? Czy lubię szybko czy wolno? Spokój czy ekscytację? Czy moją największą wartością jest bliskość, czy wolność, niezależność, wspólnota? Bo jeśli wiemy, kim jesteśmy i jak chcemy żyć, wszystkie mikrodecyzje podejmujemy z myślą o tym, dokąd zmierzamy. A jeśli żyjemy nie swoim życiem, tylko marzeniami rodziców, oczekiwaniami społecznymi, wykonujemy spawody wdrukowane jako prestiżowe i dobrze płatne, a jeszcze dochodzą do tego schematy w stylu, że dziewczynka powinna to, a chłopiec nie powinien tego, to w końcu gdzieś w połowie życia przychodzi moment, kiedy dociera do nas: „Haló! Czy ja drugą połowę życia chcę przeżyć tak samo?”. To, co nazywamy kryzysem wieku średniego, a Jung indywidualizacją, zwykle dzieje się gdzieś między 30. a 40. rokiem życia. Realizujemy plany, które ktoś nam wymyślił, a jednak nie jesteśmy szczęśliwi. Ktoś pracuje

w korporacji, bo trzeba zarabiać, a tak naprawdę pieniądze nie są jego wartością. On chciałby żyć bliżej natury i ludzi, we wspólnocie, w Bieszczadach. To tylko przykład, bo chcę pokazać, że często mamy styl życia niedopasowany do siebie. Czasem są to drobiazgi: rytm, potrzeba ciszy. Jesteśmy z kimś bardzo towarzyskim, kto żyje w domu otwartym, a my jesteśmy introwertykami i marzymy o kocyku, książce i świętym spokoju. Im więcej takich niedopasowań, tym bardziej czujemy, że coś nas uwiera.

Mówi się też, że prawda boli. Czasem może oznaczać utratę czegoś ważnego, jak relacja, praca, finansowy komfort. Miałaś takie momenty, kiedy mimo to że to oznaczało stratę czy koszty, poszłaś za sobą? U mnie ten głos intuicji, serca, jakkolwiek go nazwać, jest tak silny, że ja z nim nie mam jak dyskutować. On po prostu mówi: „Tak” albo „Nie”. I ja nawet nie mam ochoty robić

inaczej. Natomiast trudne było dla mnie odejście z pracy dziennikarskiej, z robienia wywiadów w „Dzień Dobry TVN”.

To były świetne rozmowy, wspaniali ludzie, gwiazdy z Hollywood. Wiele osób myślało: „Jak można było z tego zrezygnować?” Ale to była moja droga do siebie. I zyskałam dużo więcej: wewnętrzny spokój, wolność, poczucie sprawczości. Nie ukrywam też, że byłam już zmęczona; może to nie jest idealne słowo, ale miałam poczucie, że zrobiłam już wszystko, co mogłam. Chciałam się rozwijać, a najważniejszy rozwój był dla mnie rozwojem wewnętrznym. Dla mojej tożsamości to było bardzo trudne. To leżakowało we mnie przynajmniej rok. Ale wiedziałam, że to właściwa droga. I tego nie da się do końca wytłumaczyć. To trzeba poczuć. Z zewnątrz taka decyzja może wyglądać na szaloną, ale wewnętrznie

bywa spójna. Nawet błędne decyzje podjęte w zgodzie ze sobą mają nieprawdopodobną wartość.

Jak zmieniło się Twoje macierzyństwo, odkąd weszłaś na tę drogę ku zmianie?

Na pewno mam więcej spokoju i więcej cierpliwości. Ale mam też poczucie, że macierzyństwo i relacja z moimi córkami zawsze były przestrzenią, w której potrafiłam sięgać po wyżyny swoich możliwości. I że moja zmiana zaczęła się właśnie tam. Czułam, że tu nie ma miejsca na chodzenie na skróty. W macierzyństwie zaczęła się rodzić prawda o mnie. Zaczęłam odkrywać, kim jestem w swoim rdzeniu: ile mam wrażliwości, miękkości, ale też ile mam cierpliwości. I zaczęłam widzieć, że da się zarządzać emocjami, że da się reagować inaczej, nawet jeśli wcześniej miałam przekonanie, że tak już jest. To było moje pierwsze laboratorium dorosłości: miejsce, w którym byłam odpowiedzialna i za swoje emocje, i za to, jak je reguluję. A potem to poszerzenie umiejętności regulowania siebie przyszło dalej, już w innych obszarach życia.

Czy dom, który zbudowałaś swoim dzieciom, jest podobny do tego, w którym Ty dorastałaś? Co wzięłaś z rodzinnego domu jako zasób, a co budujesz inaczej?

Jest wiele rzeczy, które chciałam zachować, bo były dla mnie cenne. Na przykład poczucie wolności, samostanowienia, sprawczości. I to, że dzieciom wcześniej dawało się podmiotowość, poczucie, że są oddzielnymi bytami, mają prawo do swoich emocji, decyzji, humoru. Mój dom rodzinny był dość liberalny i zawsze to ceniłam. Były zasady, bo były wartości, na których ten dom stał: uczciwość, empatia, szacunek dla drugiego człowieka. A jednocześnie było dużo tolerancji i wolności. Bardzo chciałam przenieść też coś jeszcze: kult czytania, nauki, wiedzy, ale bez napompowania. W moim domu edukacja była ważna, ale była też lekkość, humor, puszczenie oka do świata. I ja to naprawdę lubiłam, bo to zdejmuję ciężar z rzeczy, które i tak bywają w życiu wystarczająco ciężkie. A czym się różni dom, który ja buduję? Myślę, że większą uważnością i obecnością. Nie mam poczucia, że moi rodzice świadomie zrobili coś źle; raczej brakowało im zasobów i samoświadomości, które pozwoliłyby się regulować, być bardziej obecnym w relacji. U nich było dużo pracy, dużo nieobecności. Przez to, miałam wrażenie, że na co dzień brakowało atmosfery bliskości, miłości, uważności na siebie nawzajem i na mnie jako na dziecko. Jest też jedna rzecz, której zdecydowanie nie chcę powielić:

skupienia na osiągnięciach i sukcesach. Bardzo mocno tłumaczę moim dzieciom, że w szkole uczą się wielu ważnych rzeczy, ale wielu kompetencji potrzebnych w życiu szkoła nie uczy. I że nie warto przywiązywać się aż tak do wyników i ocen, bo one nie świadczą o człowieku. U mnie sukces i osiągnięcia, mierzalne, oceniane z zewnątrz, były ustawione jako coś najważniejszego. I to mi się skleiło z przekonaniem, że to zagwarantuje miłość, uwagę, szczęście. Tego chciałabym moim dzieciom oszczędzić.

Prowadziłaś podcast „Ku szczęściu”, którego finałem stała się książka. Rozmawiałaś z wieloma ludźmi, każdy miał swoją definicję szczęścia. Czy to Ci nie rozsadziło tej Twojej, z którą zaczynałaś? Jaka jest dziś Twoja definicja szczęścia?

Ona się zmieniła. Nie zastanawiałam się nad tym aż tak głęboko, jak mogłam, a szkoda, bo rzeczy, których nie definiujemy, rozmywają się. Niby wiemy, do czego dążymy, ale pod hasłem „szczęście” każdy może mieć coś innego. U mnie, jak wspomniałam, szczęście bardzo długo było sklejone z sukcesem. Nieświadomie chciałam osiągnąć sukces, bo wydawało mi się, że on jest tożsamy ze szczęściem. A okazało się, że nie. I ta mocna redefinicja wydarzyła się jeszcze przed napisaniem tej książki. Dziś uważam, że szczęście jest stanem, który w pewnym sensie może być stałym tłem życia. I że bardzo wiąże się ze spokojem. Spokój jest dla mnie jednym z elementów szczęścia. Innym ważnym komponentem jest bycie w zgodzie ze sobą, bycie w swojej prawdzie i wolność życia na własnych zasadach. To nie jest życie pozabawione emocji czy wyzwień. To jest raczej trzon; mocny rdzeń, ugruntowanie i poczucie sprawczości, dzięki któremu wracamy do pionu po każdej sytuacji. Emocje przychodzą, problemy przychodzą, ale wracamy do równowagi dość szybko i samodzielnie. A w tle jest spokój i wewnętrzny balans.

Czego Cię nauczył sam podcast?

Każdy gość przynosił coś, co rozszerzało moją świadomość. Czasem podrzucał książkę, czasem jedną myśl, która zostawała na długo. Często rozmawiam z autorami, czytam ich książki wcześniej i to jest dla mnie bardzo cenne. To też jest element mojej drogi. Co ciekawe, bywa tak, że wydaje mi się, że „już coś wiem”, a potem o tym zapominam i przestaję to stosować. I wtedy przychodzi ktoś i mi przypomina. I ja myślę: „No tak, przecież odpuść”. W pierwszej książce pisałam o tym, że mu-

simy pamiętać, jak skonstruowany jest mózg. Ewolucyjnie nie jest zaprogramowany na szczęście; jest zaprogramowany na przetrwanie. Dlatego naturalnie idziemy w stronę myśli i zachowań, które nie służą naszemu dobrostanowi, tylko naszej ochronie: oceniamy innych, porównujemy się, widzimy zagrożenia, skupiamy się na negatywach i je pamiętamy, bo mózg chce nas ostrzec przed podobnym scenariuszem w przyszłości. Żeby żyć bardziej szczęśliwie, musimy wykonać świadomy wysiłek: odkręcić ten naturalny skręt umysłu i przeprogramować go na bardziej pozytywną stronę. To się da zrobić, tylko że umysł ma tendencję, by wracać do tego, co dawno uformowane. Trzeba sobie o tym przypominać.

Co łączy ludzi, których uważasz za naprawdę szczęśliwych? Twoim zdaniem, to jest kwestia charakteru, odwagi, pracy nad sobą, decyzji może?

Badania pokazują, że dużo szczęśliwsi są ludzie, którzy mają poczucie sprawczości i idą w działanie. Tacy, którzy czują, że istnieje strefa ich wpływu, nawet niewielka i którzy skupiają się na tym, co mogą zrobić, a nie tylko na tym, co ich spotyka. Gdybym miała dołożyć moją interpretację, to ważnym komponentem jest pewien rodzaj luzu. Wyłączenie perfekcjonizmu, odpuszczenie nadmiernej kontroli i uzależnienia od efektu, akceptacja. Mnóstwo energii marnujemy na mielenie rzeczy, na które i tak nie mamy wpływu. To jest umiejętność puszczenia: „nie będę się mścić”, „nie będę tego rozkminiać”, „nie będę próbować tego naprawić”, „nie będę próbować kogoś przekonać, że jestem inna, niż on myśli”. Puszczać, puszczać, puszczać. Trochę się wyluzować. Nie traktować siebie śmiertelnie poważnie; spuścić gardę, spuścić ego. Mieć pokorę wobec własnych słabszych stron. Znieść to, że ktoś może mieć do nas obiekcje, że może nas skrytykować. I humor, czyli umiejętność śmiania się z tego, co przynosi życie. Przekręcanie się w stronę wdzięczności, a nie ciągłego skupienia na problemach. To jest kompetencja. A pod tym znowu jest sprawczość: życie mi się przytrafia, ale ja decyduję, jak tym nurtem płynę. Czynniki zewnętrzne to może 20 procent, a 80 procent to już jest to, jak reaguję. Dojrzałość, odpowiedzialność, wychodzenie z pozycji ofiary. Poczucie, że dobra, coś da się zrobić, więc to zrobimy. Nastawienie na działanie. Że jednak coś zmienię, nie poddam się, nie uniosę rąk i nie zostanę w niemocy, wskazując palcem, kto jest winny.

MAREK ORAMUS: KAPITALIZM STAJE SIĘ KAMIENIEM U SZYI CYWILIZACJI

Należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, ogłady, refleksji nad cywilizacją człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kościanej maczugi w rękę ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą – mówi Marek Oramus, pisarz, futurolog.

Anita Czapryn

Z jaką myślą wszedł Pan w nowy rok?

Wszedłem z dwojakim stanem umysłu. W poprzednim roku udało mi się wydać książkę „Pieśń rąbanego lasu”; zawsze taki rok uważałem za udany. Ale w grudniu 2025 zniknęła moja witryna internetowa „Galaktyka Gutenberga. Marek Oramus o książkach i filmach”. Zmarł niespodziewanie kolega, który ją prowadził od strony technicznej. Okazało się, że zarejestrował ją na siebie. Najpierw „Galaktyka” wisiała w internecie przez pewien czas, potem została zdjęta, a w końcu platforma Consulting Service w ramach działalności kulturotwórczej sprzedała adres komuś, kto umieścił tam ogłoszenia porno z Hrubieszowa. Napełniło mnie to obrzydzeniem: w kraju uchodzącym za praworządny zamienia się witrynę walczącą o poprawę stanu cywilizacji w tubę pornograficzną.

Zanim przejdziemy do „Pieśni rąbanego lasu”, która bardzo mnie urzekła, zwracam się do Pana jako futurologa: co Pana najbardziej niepokoi politycznie albo cywilizacyjnie w nowym roku 2026?

Przeczytałem ostatnio książkę Wellsa z 1913 roku „Świat wyzwolony”. To pierwsze wydanie polskie, wcześniej nie było tłumaczenia. Książka była naprawdę wizjonerska: w 1913 roku Wells przewidział użycie bomb atomowych. Wtedy fizykom nawet się nie śniło, że istnieje reakcja łańcuchowa, a on już z tego zrobił bombę A. Oczywiście opierał się na pracach Soddy’ego i Rutherforda, ale dopiero chyba w 1933 roku opublikowano koncepcję reakcji łańcuchowej. Wells pisał tę książkę przed pierwszą wojną, w 1913 roku, wyszła na początek 1914. W 1914 wybuchła pierwsza wojna zwana Wielką, bo wtedy myślano, że większych już nie będzie. Jakże się

mylili chłopcy i dziewczynki, prawda?

W swojej książce też Pan bywa profetyczny. Po pierwsze, przewidział, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich upadnie. Napisał Pan też: „Wojna być musi i nie wiem, czy życzyć jej sobie prędko, czy dopiero na starość”. Wygląda na to, że Pan wywróżył.

To się sprawdza, bo idzie rażno ku trzeciej wojnie. Niektórzy twierdzą, że ona już trwa, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo ma dziś formę hybrydową. Żadna wojna się dokładnie nie powtarza. Wells miał za sobą doświadczenie wojen XIX-wiecznych: jeden głównodowodzący w polu, ataki i odpierania. W powietrzu nic nie latało, poza kartaczami i pociskami z dział. A Wells już wprowadza centralne sztaby, które komendują wojskiem z jednego punktu i stają się celem ataków z powietrza, bo on wprowadza też wojnę w powietrzu. W „Świecie wyzwolonym” wojna jest naznaczona na rok 1956. Sprawdziło się to z nadatkiem: I wojna zaczęła się w 1914, II wojna w 1939. W książce wojna trwa względnie krótko, parę lat, państwa centralne: Niemcy, Rosja występują przeciwko koalicji brytyjsko-francuskiej. Wojna kończy się ogólnym porażeniem cywilizacji: główne miasta w ruinach, skażenie promieniotwórcze po wybuchach. Wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy, że takie odpady będą. Okazuje się, że to jest jeden z najgroźniejszych skutków

użycia tej broni. W Hiroszimie jeszcze dziś podobno liczniki pokazują, że coś promieniuje pod nogami, bo ruiny zostały zachowane. Po tej wojnie u Wellsa ludzkość jakby oprzytomniała: tak dalej nie można, bo nastąpi samozagłada. Zaczyna się organizacja rządu światowego, władzy centralnej nad światem. To w ogóle oczko w głowie Wellsa: w co drugim traktacie pojawia się rząd światowy, który radzi sobie ze wszystkim. Antidotum na bolączki militarne, społeczne, cywilizacyjne.

No to byłoby cudowne, taki jeden rząd, prawda?

Byłoby cudownie, tylko że to utopia. Mieliliśmy Ligę Narodów, mamy ONZ i widzimy, jaką rolę odgrywają.

Jeden rząd dawałby nadzieję, że nie byłoby wojen.

Pod warunkiem, że taki rząd zyska posłuch. Poza tym natury ludzkiej nie da się odmienić z dnia na dzień. Wierzę, że mamy takie okresy, kiedy jesteśmy lepsi, mili. Święta są takim czasem, kiedy dobro się wywala. Ale ledwo miną, zaczyna się z powrotem to, co było. Zwłaszcza kiedy ludzie w mundurach skrzykną się z pomysłem na wojnę, taką jak ta na Ukrainie.

A teraz jeszcze Wenezuela. Co Pan pomyślał?

Pomyślałem, że Trump robi to samo co Putin, tylko sprawniej i inaczej. Jak to się mówi: bogatemu nikt nie zabroni. Oczywiście w samej Wenezueli działa

się rzeczy straszne: dyktatura, zbrodnie, morderstwa, eksport narkotyków do Ameryki. Oni z czegoś musieli żyć poza ropą. To był bogaty kraj przed nastaniem tam socjalizmu.

Czy granica narkotykowa zostanie zamknięta?

Trump ją zamykał konsekwentnie od jakiegoś czasu: obstawiał morze statkami i kutry nie mogły wywozić narkotyków tak swobodnie jak wcześniej. To na pewno ulegnie zahamowaniu. Ale dziś czytam, że wcale nie Wenezuela była głównym dostawcą, tylko Kolumbia, a w Kolumbii nic się nie zmienia. Prawdopodobnie Trump chciał położyć rękę na ropy wenezuelskiej. To kraj z olbrzymimi zasobami ropy. Ale, jak mówił Tyrmand: „Zaprowadźcie na Saharze komunizm, to po tygodniu zabraknie piasku”. Nieudolna gospodarka, marnotrawstwo, zło, dzieje się itp. spowodowało, że zeszli prawie do poziomu Kubę. Było duże niezadowolenie społeczne, nędza, wspominało się nawet o głodzie.

Zastanawiałam się, co łączy dziennik ze stanu wojennego i wybór felietonów, bo to przecież Pański wybór. Ta książka to był gest domknięcia czegoś?

Na pewno. Z jednej strony domknięcie rozliczeń ze sobą po stanie wojennym, bo uciepiałem wtedy i indywidualnie, i rodzinnie. I cały kraj uciepiał. Byłem z tym krajem w komitywie w tym ucierpieniu. Z drugiej strony chciałem domknąć felietony. One są cywilizacyjne: o obyczajach, o nauce, o rzeczach, na które trafiałem i które mnie dziwiły. Na przykład: „Kto ukradł czarną dziurę?”; byłem zdumiony, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. A teraz okazuje się, że jakaś czarna dziura, odległa o dziewięć miliardów lat świetlnych, leci z prędkością dziesięciu milionów kilometrów na godzinę.

To jest potwór: ma jakieś sto milionów mas Słońca, zgarnia wszystko na drodze swoim horyzontem zdarzeń. Idzie jak pług śnieżny, że nawiązę do zimy, jaką mamy, i czyści przesiekę przez kosmos. Dokąd zmierza? Nie wiadomo. Prawdopodobnie, w wyniku wypadkowych grawitacyjnych, wyleciała z układu dwóch albo trzech czarnych dziur. One się czasami zlewają i wtedy idzie potężna fala grawitacyjna. Tu się obróciło inaczej: jedna została wystrzelona i pruje kosmos z niewiarygodną prędkością. Takie fenomeny bardzo mnie interesują, bo to są wielkie energie, wielkie masy. Człowiek nie może stanąć temu na drodze, ani sam, ani z tym, co posiada, bo zostałyby zmiecione, połknięte i zamienione na makaron.

Pana felietony widzę jako laboratorium diagnoz społecznych. I myślę: czy dzisiejsza publicystyka ma jeszcze czas na myślenie? Czy widzi Pan, w którą stronę skręca świat i po czym to poznać?

On nie skręca nigdzie. On już wali naprzód.

Jak ta czarna dziura (śmiech)?

Wali dyszlem w potok, po prostu. Trzeba by ogromnego impulsu, żeby go nakłonić do skrętu albo zawrócić, a bodajże jest to niemożliwe. Zostaje nam obserwowanie co bardziej malowniczych przejawów apokalipsy, która się szykuje, opisywanie tego i dodawanie niewielkich ekstrapolacji: dokąd to może pójść i jak się skończy. Jestem tu całkowicie pesymistą; nie widzę szans na nic. Czasami dziwi mnie, że ludzie pięćdziesiąt lat temu już widzieli to zagrożenie. Świat był wtedy piękny: trzy miliardy ludzi, mało zanieczyszczeń. Owszem, były tendencje niepokojące, ale wydawało się, że to się samo naprostuje. Nie naprostowało się. Ka-

pitalizm? Jego przydatność się kończy. Zysk i słupki wzrostu przestają być miarodajnymi wskaźnikami rozwoju cywilizacji. Nie stać nas na gigantyczne marnotrawstwo, które odbywa się choćby przy okazji świąt: papier, śmieci, plastiki, prezenty, niepotrzebnie wyprodukowane rzeczy. Do tego potrzeba ludzkiego trudu, energii, wszystkiego. Na to już nas nie stać jako cywilizacji. Ten model się przeżył. Nie przeżył się jeszcze w umysłach ludzi, bo ludzie działają z inercją, ale jako narzędzie rozwoju cywilizacji jest już nieprzydatny. Jest jak kamień u szyi cywilizacji, jeśli cywilizacja ma szyję.

Co uważa Pan dziś za toksyczne paliwo współczesnej rzeczywistości czy polityki?

Naturę ludzką. Człowiek jest zepsuty do szpiku kości. I to nie jest kwestia ostatnich lat czy dekad, ani nawet ostatnich wieków. Tak jest od zarania, człowiek ma wbudowany błąd, komponent agresywny. Być może to pozwoliło mu przetrwać, inaczej drapieżniki by go pożarły i nie rozmawialibyśmy dziś przy tym stole. Nie byłoby ani stołu, ani tego domu, ani niczego. Z biegiem czasu należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, ogłady, refleksji nad sobą człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kościanej maczugi w rękę ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą.

Jakie to narzędzia?

Przede wszystkim technika. Mam wrażenie, że ci, którzy wymyślają narzędzia, są na innym poziomie niż ci, którzy potem je dostają do użycia. A ci, którzy ich używają, nie nadążają za potęgą środków, które wpadają im w ręce. Mam na myśli polityków i wojskowych, bo to oni podejmują de-

*CZŁOWIEK JEST ZEPSUTY
DO SZPIKU KOŚCI. I TO NIE JEST
KWESTIA OSTATNICH LAT CZY
DEKAD, ANI NAWET OSTATNICH
WIEKÓW. TAK JEST OD ZARANIA*



FOT. BERENIKA ORAMUS

Oramus: Medycyna na pewno robi obecnie ogromny postęp. Ale część jej badań może służyć sterowaniu człowiekiem

cyje. Potem są ludzie od propagandy: trzeba uzasadnić politykę, a potem ją relacjonować odpowiednio. Pole do nadużyć jest ogromne. I dopóki nie umiemy tych ludzi okiełznać, przy tym złudzeniu, że reszta, tak zwana milcząca większość, jest dobra, spolegliwa, dopóty będzie źle. Wczoraj rano czytałem o zbrodniach, od których włos się jeży. Ktoś komuś wepchnął nóż w brzuch. Ktoś zgwałcił dziecko, półtora-roczone. Dzieją się straszne rzeczy, o których nie zdajemy sobie sprawy.

Obiecałam, że wrócę do pierwszej części książki, do stanu wojennego, tego autentycznego zapisu z tamtych czasów, bez upiększania, bez wygładzania, bez redakcji. Po co Pan to napisał? Żeby pamiętać, czy żeby nam, czytelnikom, łatwiej było zrozumieć teraźniejszość? To nie było pisane z myślą o publikacji. Pisałem z dnia na dzień, najpierw częściej, potem rzadziej, właściwie dla siebie. Żeby nie uleciała pamięć o tym, co się dzieje. Żeby zanotować swój stan psychiczny, bo sądziłem, i słusznie, że to próba ze strony świata zewnętrznego. Kiedy zdecydowałem się opublikować, za radą kolegów, którzy mówili, że można to pokazać,

stałem przed pytaniem: czy to „czyścić”, czy nie. Tam była taka rzeczywistość, że się przeklinało, płakało, robiło różne rzeczy. Postanowiłem więc zostawić tak, jak było. A po co? Po pierwsze jako zapis historyczny. Z tego, co wiem, są znakomici krytycy zajmujący się literaturą stanu wojennego, którzy nie wiedzieli ani o tej książce, ani o mojej wcześniejszej książce o stanie wojennym, „Święto śmiechu”. Więc to jest świadectwo czasu i wiadomość o tym, co się wtedy z mną działo. Wyniknąłem na rynku fantastyki naukowej właściwie znikąd. Pojawiła się powieść i człowiek, całkiem anonimowy, nagle stał się znany; takie to były czasy. Ta książka zasypuje pewien rów niewiedzy, choć to oczywiście nie był jej główny cel. Główny cel, który zrealizował się niejako po drodze, to pokazanie tego, co oddaje tytuł: naród, ukryty w metaforze rąbanego lasu, próbuje przeżyć i jakoś się ostać mimo bezlitosnego wyrębu. To jest metafora, która mi pasuje do obrazu stanu wojennego.

Co z tamtego doświadczenia najczęściej dziś do Pana wraca? W ogóle coś wraca?

Wraca strach przed tym, jak łatwo spory naród zamienić

w stado baranów: terroryzując przywódców, zamykających, wprowadzając reglamentację, cenzurę i tak dalej. Jak łatwo taki naród ujarzmić. Nie zerwała się żadna partyzantka, zresztą słusznie, bo byłoby dużo bardziej krwawo. Ale jest wąski przedział między łagodnym bytowaniem a katastrofą. To można odnieść do dzisiejszych czasów: my sobie spokojnie egzystujemy, a nie wiemy, czy za kilka dni nie wybuchnie wojna, czy nie zostanie wprowadzone prawo stanu wojennego, uzasadnione wojną, że nie wolno tego czy tamtego. To jest dla mnie przestroga: nie można być niczego pewnym. W 1981 roku byłem przekonany, że idzie ku lepszemu. Że naród się ogamnął, że coraz więcej wolno, że wychodzimy z imadła; wszystko się zachwiało w momencie ogłoszenia stanu wojennego. Uważałem stan wojenny za absurd. Z punktu widzenia tchórzliwej władzy namiestniczej to było świetne wyjście: marszałkowie na Kremlu pochwalili naszych wojskowych za taki wynalazek. Stan wojenny nie był wcześniej zastosowany.

W stanie wojennym został Pan negatywnie zweryfikowany jako dziennikarz i miał Pan zakaz pisania. To bolało?

Boleć nie bolało, to nie była rana. A i tak przecież pisałem. W stanie wojennym rozpisałem się literacko, wydałem chyba cztery książki napisane wtedy. Miałem rodzinę z małym dzieckiem, musiałem zarabiać. Natomiast pod sam koniec stanu wojennego zrobiło się nieprzyjemnie i zdecydowaliśmy się wyjechać do Niemiec. Moja żona była pochodzenia niemieckiego, więc z łatwością uzyskała obywatelstwo. Przede mną stało pytanie: co ja tam będę robił? Wziąłem swój dyplom politechniki i poszedłem do elektrowni Rybnik. Zatrudniłem się tam na zasadzie ćwiczeń przed pracą w niemieckiej elektrowni, bo wiedziałem, że będę musiał zaczynać od dołu. W międzyczasie żona z dzieckiem wyjechali, kombinowaliśmy, żeby wyjechać osobno, bo razem nie wypuszczali. Kończyłem wtedy powieść „Dzień drogi do Meorii”, chciałem ją zostawić w kraju już gotową. Ale kiedy przyjechałem do Niemiec, było już po małżeństwie. Zabrałem się i wróciłem do Polski.

Na dworc w Essen na wielkiej podświetlanej ścianie leciały wiadomości. Czytałem: Arbeitsführer Lech Walesa wezwał robotników do demonstracji gegen Regierung... nie mogłem sobie przypomnieć, że Regierung to rząd. Ale pomyślałem: wracam w ciekawym momencie, coś się będzie działo. To było lato 1988 roku, potem poszło błyskawicznie. Wróciłem do dziennikarstwa, pracowałem w „Czasie Krakowskim”, potem w „Fantastyce” i znalazłem się na swoim miejscu. Tylko że bez rodziny, bez dziecka, bez żony. Trzymałem się z dala od polityki, interesowało mnie raczej to, co się dzieje z cywilizacją, kulturą, społeczeństwem.

Co dziś dzieje się z cywilizacją? Czy AI jest królową nowych technologii? Ludzie pytają Chat GPT jak wyrocznie o wszystko.

Ludzie zwracają się do Chata GPT, dostają absurdalne odpowiedzi, uznają je za stuprocentowo prawdziwe i się na tym przejeżdżają. Są dwa rodzaje sztucznej inteligencji. Jedna, prosta, której uosobieniem jest Chat GPT. Druga to pełna sztuczna inteligencja, tak zwana mocna: ma te same kompetencje umysłowe co człowiek, ale ma dostęp do narzędzi, o jakich my nie marzymy, i do szybkości. My, istoty białkowe, w porównaniu z nią jestem jak ślimaki... jak nieruchome pomniki nieudolności. Ta sztuczna inteligencja, której używamy, jest użytkowa: można ją włączyć, wyłączyć. Chociaż nie wiadomo, co się tam kluje na zasadzie emergencji. Czytałem esej, że pomiędzy włączeniem komputera a wy-

świetleniem pierwszych sygnałów na ekranie jest obszar zupełnie niekontrolowany; martwy odcinek. I więcej jest takich odcinków; fachowcy wiedzą lepiej. W drutach może się załęgnać, na zasadzie emergencji, przechodzenia ilości w jakość, inteligencja większego rodzaju. Znawczy nazywają ten moment Osobliwością, przewidują go na rok 2030.

Co będzie tematem politycznym tego roku i najbliższych lat: AI czy klimat?

Wszystko naraz. I klimat, i sztuczna inteligencja, i wojny, które będą trwałe, i polityczne przepychanki. Układ dwubiegunowy zmienił się w wielobiegunowy: doszły Chiny, Rosja słabnie, ale jeszcze się liczy, powstają nowe siły, Brazylia staje się mocarstwem, Japonia się odradza. Jest trochę krajów, które za chwilę będą aspirować do tego, żeby się z nimi liczyć. A ponieważ Ziemia jest ciasna i już zagospodarowana, to jeśli ktoś chce wkroczyć na jakiś teren, musi wejść w konflikt z kimś, kto tam siedzi. Popatrzmy na Grenlandię: są mieszkańcy, załogi duńskie, długo nie miało to znaczenia. Ze względów strategicznych Grenlandia bardzo by się Trumpowi przydała. Do tego lody schodzą i pokazują, że jest pod spodem; okazuje się, że na Grenlandii jest to i tamto do wykopania. To samo dzieje się na Antarktydzie, w Arktyce. Odsłaniają się nowe rejony świata, które można psuć. Są koncepcje wydobywania konkretnej mineralnych z dna oceanów. Paszcze koparek, sterowane z góry, będą jechały po dnie, zagarniały urobek, wynosiły na powierzchnię do przeglądu, a szlam z powrotem wrzucały do wody. To jest załatwienie oceanów definitywne. Zanim oceaniczne życie dojdzie do siebie, minie dziesięć tysięcy lat.

Jest jakiś obszar, w którym człowiek robi postęp, i to bez ironii? Medycyna, bezpieczeństwo, nauka?

Medycyna na pewno. Ale część jej badań może służyć sterowaniu człowiekiem. Czytałem takie anonse, że po drganiu mięśni na szyi - wiem, jak to kuriozalnie brzmi - będzie można odczytywać myśli ludzkie. Że są daleko posunięte badania i zajmuje się tym wojsko. Inwigilacja elektroniczna to już stała rzeczywistość naszego życia. A taka czysta dziedzina, choć też nie do końca, bo nic nie istnieje bez powiązań z wojskiem i polityką, to astronautyka. Będzie się wychodziło w kosmos. Dziś chyba zaczęło się odliczanie w programie Artemis do startu w stronę Księżyca. To będzie coś jak Apollo 8: pod presją rosyjską, bo tamci też chcieli wyładować, Amerykanie zdecydowali się na bardzo ryzy-

kowny krok i puścili bez przetarcia załogę wokół Księżyca; kilka okrążeń i powrót. Działo się to w Boże Narodzenie 1968 roku. Astronauci, kiedy już widzieli, że wszystko się powiodło, czytali z orbity Księżyca fragmenty Genesis. To zrobiło na świecie bardzo dobre wrażenie. Teraz będzie wyścig amerykańsko-chiński o Księżyc, zwłaszcza o jego biegun południowy, bo tam jest woda, pokłady lodu. W związku z tym będzie albo latająca baza amerykańska, albo stała baza na Księżycu. To samo kombinują Chiny, przy czym bardzo się interesują odwrotną stroną Księżyca. To znaczy, że techniki mają porównywalną z amerykańską, jeśli chodzi o Księżyc. Rosjanie raz wypadają z konkursu, bo nie mają pieniędzy. Myślę, że wojna na Ukrainie doprowadzi Rosję do rozpadu i to jest moja przepowiednia. Może nie na ten rok, ale w najbliższym czasie: rozpad na mniejsze państwa. Rosja tej wojny nie udźwignie przy takim sposobie prowadzenia. Nie ma na to dość roszumu ani pieniędzy.

Można odnieść wrażenie, że Donald Trump bardzo pomaga Rosji.

Trump działa według mnie irracjonalnie. Czytałem książkę, w której napisano, że Rosjanie coś na niego mają i wtedy jego postawa jest zrozumiała. Poza tym to człowiek sędziwy, zmurszały miazdżycow. Tylko że za plecami Trumpa nikogo nie widać i to jest najgorsze. Nie widać nowego Reagana. A to jest moment, kiedy można by położyć Rosję na plecy i przespacerować się po niej tam i z powrotem. Jest koncepcja, że Rosja pomoże w wojnie z Chinami, ale nie ma gwarancji, że pomoże nam, tylko raczej pomoże Chinom. Nie ma żadnej świetlistej drogi przed cywilizacją, żadnej przesłanki, która by wskazywała, że wszystko będzie OK i nie ma się czym martwić.

W takim razie: czy jest coś, co dziś zachwyca jeszcze w pojedynczym człowieku?

Tak. Człowiek jest bardzo piękną maszyną biologiczną. Oglądam dużo sportu, bo transmisje sportowe pozostają, mam wrażenie, nie zafałszowane. Oglądam lekkoatletykę, piłkę nożną i widzę, jak te maszyny biologiczne działają. Ale czytając też książki, czasem obejrzę film i widzę, że człowiek ma niekiepski mózg i zdolności twórcze, które składają do produkcji imponujących rzeczy. W tym tkwi wielkość człowieka: w połączeniu biologii, ruchliwości, impetu, z możliwościami umysłowymi. Tylko jak wyjść z węzła cywilizacyjnego? Jak nad tym kryzysem zapanować? Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi to ktoś powiedział.

IM WIĘKSZY NIEPOKÓJ, TYM WIĘKSZE KOLEJKI PO ZŁOTO

Co warto wiedzieć przed zakupem złotych monet inwestycyjnych?
O inwestowaniu w złoto oraz kryptowaluty
rozmawiamy z Maciejem Peteją z IDF Metale w Katowicach

Jolanta Pierończyk

Jak rozpoznać autentyczność monet?

Niedawno spotkałem się w internecie ze stwierdzeniem, że nie ma stuprocentowej techniki na sprawdzenie autentyczności monet. Że jedyna możliwość to taka, że przetapiamy i sprawdzamy, czy to jest złoto. Ale w internecie, jak wiadomo, jest wiele różnych treści. Ja osobiście, odpukać, nie spotkałem się z monetami podrabianymi, a cały czas słyszę - także od klientów - że zalewani jesteśmy monetami podrabianymi. Ja, jak już powiedziałem, nie spotkałem się z nieprawdziwymi monetami i mam nadzieję, że tak pozostanie do końca mojej zawodowej kariery. Ale jeśli chodzi o sposoby na potwierdzenie autentyczności, to ja bym wyróżnił dwie grupy tych sposobów. Jedne to takie, którymi dysponują podmioty profesjonalne. I to są urzędnicy, które sprawdzają parametry monety, ponieważ złoto ma bardzo unikalne właściwości i pewnie dlatego od tysięcy lat jest w obiegu. Bo te właściwości za pomocą bardzo zaawansowanych urządzeń można sprawdzić. Natomiast są też sposoby dostępne każdemu. Jeśli mówimy o monetach - złotych czy srebrnych - to wystarczy położyć monetę na wadze i sprawdzić, czy faktycznie ma taką wagę, jaką podaje producent. Można też wziąć suwmiarkę czy linijkę menniszką - obie sprawdzają średnicę i grubość. W linijce są wcięcia, gdzie pisze np. średnica Filharmonika albo jego grubość, przykładamy taką monetę i sprawdzamy. Jeśli nie chcemy mieć linijki menniszkiej, wystarczą suwmiarka i wiedza na temat średnicy czy grubości danej monety. A przy pomocy wagi sprawdzamy wagę. Jeśli to się zgadza, to możemy przyjąć, że moneta jest autentyczna. Natomiast ja do tego proponuję jeszcze test dźwięku. Każda

moneta, ze względu na swoje wymiary, inaczej dźwięczy. Są aplikacje na komórkę, płatne czy bezpłatne, jest ich wiele, za pomocą których dźwięk wybranej monety sami możemy sobie potwierdzić.

Czy państwo jako sprzedawcy sprawdzają autentyczność monet?

Oczywiście, i często robimy to przy klientach. Zależy nam bowiem także na edukacji społeczeństwa. Oczywiście, zasada jest taka, że klient przynosi gotówkę i wymienia na złoto. Ale staramy się zawsze dawać coś od siebie. Mówimy, o co w tym wszystkim chodzi. Zdarzało się, że klient chciał kupić złoto na pół roku, co jest niebezpieczne, bo raz - to różnica między ceną sprzedaży a ceną zakupu, a dwa - nie ma pewności, że skoro w ciągu ostatniego pół roku cena złota wzrosła o 20 proc., to przez następne pół roku też o 20 proc. wzrośnie. Ludzie powinni wiedzieć, że złoto to raczej forma zabezpieczenia majątku na dłuższy czas. Jeśli ktoś przychodzi z innym założeniem, to ja mu mogę oczywiście metal sprzedać, ale uważam, że moją rolą jest uświadomić klientowi, że to może tak nie zadziałać. Że jest to niebezpieczne. Że złoto i w ogóle metale szlachetne - zważywszy na znaczące wzrosty w ostatnim czasie - można potraktować jako aktywo spekulacyjne, ale nigdy tego nie polecam, bo nigdy nic nie wiadomo.

Gdyby na liście lokat kapitału umieścić nieruchomości,

*PRZEZ TYSIĄCE LAT
NIE ZDARZYŁO SIĘ, BY ZŁOTO
STRACIŁO WARTOŚĆ, CO
ŚWIADCZY O JEGO SILE. JEST TO
AKTYWO PEWNE, NAMACALNE*

złoto i inne, to jak w tym układa się plasuje się złoto?

To trudne pytanie. Odpowiem tak, jak ja uważam, ale ktoś może się ze mną nie zgodzić. I powiem tak: złoto to nie jest inwestycja, choć ostatnie miesiące czy lata pokazują, że można na nim zarobić. Ale to są wyjątkowe sytuacje. Kiedy zaczynałem tu pracę, to złoto nie było aktywem, które robiło 20 czy 30 proc. w ciągu roku. Robiło kilka procent, góra dziesięć. Zarobić można było na innych aktywach. I może dlatego dziesięć lat temu złoto nie było tak popularne jak teraz. Natomiast ja osobiście uważam, że złoto powinien mieć każdy, ale - powtórzę - nie jako aktywo spekulacyjne, nie jako inwestycję, raczej jako formę zabezpieczenia pieniędzy. Bo każdy z nas powinien mieć jakąś poduszkę finansową, jakiś fundusz, z którego skorzystamy wtedy, gdy coś się wydarzy. I jeśli traktujemy złoto jako część poduszki bezpieczeństwa, a wręcz takiej poduszki, której nie mamy w zamiarze ruszać, to dla mnie złoto jest jednym z numerów 1. U mnie - subiektywnie to jest tak, że jest gotówka jako forma zabezpieczenia. Na drugim miejscu u mnie są metale szlachetne (zaczynałem od srebra, bo srebro było w moim zasięgu, a złoto jeszcze nie). Jak ktoś buduje portfel, kupuje srebro raz na miesiąc czy dwa. A dalej? Wszystko zależy od naszych możliwości. Może kryptowaluty? My mówimy o metalach szlachetnych - trzymamy, nie sprzedajemy,

też nie spekulujemy, choć kryptowaluty postrzegane są jako aktywa spekulacyjne. My jednak polecamy kryptowaluty jako formę dywersyfikacji portfela, swojej poduszki finansowej: kupuj, zapomnij na kilka lat. Nic jednak nie proponujemy na siłę. Mam klientów, którzy mówią: „Nie jestem przekonany do kryptowalut, nie chcę w to wchodzić” i ja to szanuję. Mam też grono osób starszych ode mnie, które mówią: „Nie do końca wiem, o co chodzi, ale spróbuję”. I jakąś część swoich funduszy w te kryptowaluty inwestują. Jeśli robią to w dłuższym terminie, to może to być ciekawe. Z perspektywy czasu mogą powiedzieć, że coś przyjemnego z tego jest.

Mamy te złote monety i co?

Trzymamy. Są osoby, które lubią sobie co jakiś czas wyjąć, pooglądać i nacieszyć się, zwłaszcza jak ktoś regularnie dokonuje zakupów. Mam młodych klientów, którzy regularnie kupują jakieś monety. Uważam, że jeśli ktoś jest młody, wchodzi w ten rynek, zaczyna uczyć się oszczędzania, to przyjemnie jest, jak raz na pół roku wyjmie sobie ten swój depozyt i widzi, że były kiedyś dwie monety, a teraz jest np. dziesięć. To motywuje do kontynuowania. Jak przechowywać? To kwestia indywidualna. Są dwie grupy osób. Jedna trzyma ten metal w miejscu, do którego ma dostęp 24 godziny na dobę i gdy coś się wydarzy, to można z tego skorzystać. Druga grupa trzyma go w bankach, w skrytkach, firmach specjalnych. Natomiast ja - wskutek rozmów z klientami - nie jestem zwolennikiem tej drugiej metody. Bo w tym momencie tworzymy sobie barierę. Kiedyś usłyszałem od klientów taką historię, że gdzieś na Kresach Wschodnich była mała miejscowość, jeden bank i w przededniu

wojny wszyscy mieszkańcy poszli wypłacić pieniądze. Wyszedł właściciel banku, powiedział: „Spokojnie, wszystko zostanie wypłacone, proszę przyjść o piętnastej, wszystko przygotujemy”. Przyszli o piętnastej, a tam kłódka na drzwiach. Więc ja osobiście nie chciałbym sytuacji, że stoję przed kratą i widzę, że w skrytce, w rogu są moje pieniądze, ale co z tego, kiedy nie mam do nich dostępu.

A teraz sytuacja odwrotna. Mamy monety, chcemy gotówkę. Przychodzimy w to samo miejsce...

Może być to samo lub inne, bo punktów sprzedaży metali szlachetnych jest więcej: nie tylko w Katowicach, Polsce, ale też za granicą. Monety, o których mówimy, są rozpoznawalne na całym świecie.

Cena kupna różni się od ceny sprzedaży?

Tak. Klienci kupują od nas po wyższej cenie (cena sprzedaży), a my odkupujemy po niższej (cena skupu). Weźmy przykład. Najtańsza moneta kosztuje w tej chwili [27 października 2025] 15 450 zł (tyle kosztuje Britannia). Gdybyśmy chcieli poznać cenę skupu, wchodzimy na naszą stronę internetową w zakładkę Skup, wybieramy pozycję „uncja”. Tu akurat mamy cenę za gram, bo teraz mówimy o monetach, ale są też sztabki, a im jest bliżej do gramów - 20, 50, 100 g. Więc żeby klientom, mam nadzieję, uprościć przeliczanie, podajemy wartości w gramach. A gram to w tej chwili [27 października 2025] 474,24 zł, więc mnożymy przez 31,1 g (uncja) i wychodzi 14 750 zł. Jak już przeszliśmy do różnicy między ceną zakupu a późniejszą ceną sprzedaży, trzeba pamiętać, że im mniejsze gramatury, tym cena za gram jest wyższa. Jeśli na przykład kupujemy dwie monety półun-

cjowe, to zapłacimy więcej niż za uncję w jednym kawałku. A jeżeli kupujemy dwie monety ćwierćuncjowe, to ta cena będzie wyższa niż w jednej połówce. Czyli im bardziej się rozdrabniamy, tym cena za gram rośnie przy zakupie, a przy odsprzedaży niekoniecznie. Trzeba mieć świadomość tego, że jeśli ktoś przyniesie sztabkę 100-gramową czy dwie pięćdziesiątki lub pięć dwudziestek czy nawet dziesięć dziesiątek, to dla mnie dalej jest to 100 gramów, a dla klienta przy odsprzedaży to będzie dość widoczna różnica między jedną 100-gramową sztabką a dziesięcioma 10-gramowymi.

Minusy inwestowania w złoto?

Chyba przechowanie. Jak mamy większą ilość, możemy czuć się niekomfortowo, że mamy w domu złota za kilkadziesiąt tysięcy. Ponadto trzeba pamiętać, że jest to aktywo inwestycyjne, notowane, czyli jego ceny rosną i spadają. Może być, że wejdziemy na drugi dzień po zakupie na stronę internetową i cena będzie niższa. Były takie sytuacje. Klienci byli niezadowoleni, ale to jest specyfika każdego notowanego aktywa. Trzeba mieć po prostu tego świadomość. Generalnie jednak wolę mówić o plusach niż o minusach.

To przejdźmy do plusów.

Jest ich bardzo dużo. Po pierwsze - mamy prawdziwy pieniądz. Złoto ma realną wartość, nieprzerwaną przez tysiące lat. Na papierku możemy sobie wydrukować, co się tylko chce. Druga kwestia: namacalny charakter złota czy innego metalu szlachetnego. Kiedy coś się dzieje, zapala się nam światelko, że musimy mieć coś realnego w domu, a nie papierki, które nagle tracą swoją wartość. Papierek to pieniądz fiducyjny (fides - za-



FOT. AUTOR

Maciej Peteja: Złoto powinien mieć każdy, ale nie jako aktywo spekulacyjne czy inwestycja

ufanie po łacinie), czyli oparty na wierze - wierzymy, że to jest warte tyle, ile tam napisano. W przypadku złota nie ma wiary, jest jego realna wartość. Dlatego jak coś się dzieje, uważamy, że warto ten metal mieć. Jak ja banknot przerwę na pół, to jest przerwany, a jak uncję złota podzielię na pół, to parę procent stracę, bo jednak uszkodzona, ale jak pójde do jubilera, to nadal to kupi, może taniej, ale nawet poprzecinane, poobgryzane to nadal jest to złoto. Coś, co przechowuje swoją wartość w czasie. Przez tysiące lat nigdy się nie zdarzyło, by złoto straciło wartość, co też świadczy o jego sile.

A więc aktywo pewne, namacalne, które można mieć w rękę. Trzecia kwestia: transakcyjność. Weźmy na przykład mieszkanie (oczywiście nic nie mam przeciwko mieszkaniom i inwestowaniu w nieruchomości). Gdy chcemy je sprzedać szybko, to musimy dać znaczący rabat. Natomiast jak chcemy sprzedać na szybko złoto, przychodzimy do punktu skupu metali i wymieniamy na gotówkę. Po aktualnej cenie za gram. Jak mówiliśmy, jest to aktualnie 474,24 zł za gram. I wcale nie trzeba oferować np. 300 zł, żeby było szybciej.

Cena jest stała - zarówno w Polsce, jak i w innym miejscu na świecie. Kolejna korzyść to mobilność. Mieszkania nie zabierzemy ze sobą, ziemi też nie, a metal wkładamy do plecaka czy kieszeni i w drogę. Poza tym - mieszkanie może spłonąć. A złotu ogień niestraszy. Nawet jak się roztopi (temperatura topnienia złota jest bardzo wysoka - 1064 stopnie Celsjusza, podczas gdy typowy pożar domowy osiąga 600-800 stopni, więc złoto przetrwa w formie stałej), to nadal jest to złoto. W innym kształcie, ale nadal złoto.

A zainteresowanie złotem? Czy są tzw. złote okresy dla złota?

Powiem tak: im gorzej, tym lepiej. Im większy niepokój społeczny, tym większe kolejki w takich miejscach jak nasze. Minus tego jest taki, że jak coś się dzieje, to nie tylko kupujemy my, czyli - niezbyt elegancko mówiąc - ulica, ale kupują też duże podmioty. Taka jest sytuacja w tym momencie. Jeśli chodzi o sztabki, nieważne, czy 1-gramowe czy kilogramowe, sztabek nie ma od kilku tygodni i przez kilka tygodni nie będzie, bo takie mamy informacje z mennic, z którymi współpracujemy.

Jak rośnie zainteresowanie, rośnie też cena. Jak wraca spokój, spada cena złota. Dlatego, co już mówiliśmy, nie należy patrzeć na wykresy. Po wzroście cen przyszła kiedyś klientka, żeby sprzedać swoje złoto. Bez konkretnego celu. Po co więc wymieniać na walutę, która cały czas traci na wartości?

A srebro, platyna?

Jeśli chodzi o platynę czy pallad, to my generalnie tymi metalami się nie zajmujemy, więc nie jestem tak bardzo na bieżąco. Ale powiem o jednej praktycznej rzeczy. Od razu podkreślę, że ja nie deprecjonuję ani platyny, ani palladu, bo to metale z dużym potencjałem, ale w tym roku mieliśmy sytuację, że przyszła do nas pani z jednouncjową monetą platynową i pyta, czy my kupujemy, bo ona obesza już całe Katowice i nikt tego nie chciał. Więc ja patrzę na metale pod kątem transakcyjności. Nie chciałbym zarobić 100, 200, 1000 proc. na jakimś aktywie, a potem mieć problem ze sprzedażą. Oczywiście mówię tu tylko o naszym lokalnym rynku, a Katowice to największe miasto w tym regionie i jeśli tu ktoś ma problem ze sprzedażą jednej uncji platyny czy palladu, to ja bym nie siedział w tym kierunku. Złoto czy srebro są aktywami jak najbardziej transakcyjnymi. Jeśli chodzi o srebro, to powiem, że bardzo wiele osób traktuje srebro (i słusznie) jako drobne do swojego portfela metalowego. Mówiliśmy, że im bardziej się rozdrabniamy, to cena za gram jest wyższa. Są więc klienci, którzy mówią: „Wiem, że w przypadku złota musiałbym wybrać mniejszą gramaturę, ale nie chcę płacić więcej, więc wybieram jednouncjowe monety srebrne”. Cieszą się one dużym zainteresowaniem. Srebro ma wielu fanów. Wszystkie mennice, które robią złote monety, robią je także w wersji srebrnej. Można więc mieć srebrnego Krugerranda, srebrny Liść Klonowy i wszystkie inne ze złotej szóstki. Jedynie w przypadku Kangurka - rewers tu się co roku nie zmienia, zawsze jest taki sam, tylko w złocie jest zmienny. Ceny srebra są zdecydowanie niższe od złota. Na przykład Liść Klonowy kosztuje ok. 234 zł.

I jeszcze parę słów o kryptowalutach.

Jeżeli kupujemy złoto fizyczne, to ono ma namacalny charakter. W przypadku kryptowalut tego charakteru nie ma. Upraszczając temat, kryptowaluty są w internecie, w specjalnej bazie danych którą nazywamy blockchain. To jest łańcuch bloków z danymi. Każdy blok ma określoną pojemność i jest zapeł-

niany transakcjami przeprowadzanymi w danym momencie, po czym jest zamknięty i transakcje rejestrowane są w kolejnym. I tak dalej. Cały bitcoin nie jest w naszych rękach, ale w tym właśnie blockchainie. Naszym zadaniem jest to, by nie utracić dostępu do tej bazy danych. Musimy temu systemowi udowodnić, że to my jesteśmy właścicielami danych transakcji. Są pewne podobieństwa do tradycyjnego systemu finansowego. Jeżeli chcemy komuś zrobić przelew lub on nam, obie strony muszą mieć konto w banku. Tak samo jest z kontem kryptowalutowym. Takie konto możemy stworzyć samodzielnie. Można to zrobić na różnych platformach w internecie. Początkową trudnością w przypadku kryptowalut może być nomenklatura, czyli niecodzienne pojęcia, typu blockchain, klucz publiczny czy prywatny. Można więc przyjść do takiego kantoru jak my i ja pomagam w stworzeniu takiego portfela czy konta. Nie wchodząc w szczegóły, powiem tak: konto można stworzyć w internecie, natomiast jak kupujemy kryptowaluty w dłuższym terminie i chcemy je bezpiecznie przechowywać, raczej wykorzystamy z czegoś, co się nazywa portfelem zewnętrznym. Ten portfel to swoisty pośrednik między nami a danymi w blockchainie, dzięki któremu potwierdzamy, że transakcja tam zapisana jest nasza i możemy robić kolejne. Portfel zewnętrzny - cold wallet - charakteryzuje się tym, że jest poza internetem, nie jest do niego podłączony, a tym samym nie jest narażony na żadne ataki, w przeciwieństwie do giełdy kryptowalut. Dlatego polecamy portfele zewnętrzne. Kryptowaluty mają też cechę wspólną z metalami szlachetnymi. Jeśli chcemy sprawdzić aktualną cenę złota, to oczywiście można wpisać „cena złota”, ale jak chcemy się dowiedzieć dokładnie, ile zapłacimy za sztabkę czy monetę, musimy się skontaktować z konkretnym dystrybutorem. Podobnie jest z kryptowalutami. Też można wejść na stronę, np. CoinMarketCap i sprawdzić aktualną średnią cenę kryptowaluty, natomiast jeśli chcemy się dowiedzieć, ile dokładnie za kryptowaluty zapłacimy, musimy się skontaktować z miejscem, gdzie tego zakupu chcemy dokonać. Kryptowaluty to ciekawy temat. Jak już powiedziałem, są traktowane jako aktywa spekulacyjne. Natomiast jak kupujemy w dłuższym terminie, to jest szansa, że te wszystkie spadki oraz wzrosty nas ominą i po jakimś czasie będziemy na plusie.

©©

ZŁOTO INWESTYCYJNE W PIGUŁCE

Najbardziej popularne monety inwestycyjne (przy których nie ma żadnego problemu w przypadku sprzedaży zarówno w Polsce, jak i na świecie) tworzą tzw. wielki kanon, czyli złotą szóstkę: Australijski Kangur, Kanadyjski Liść Klonowy, Wiedeński Filharmonik, Krugerrand z RPA, Britannia z Wielkiej Brytanii, Amerykański Orzeł z USA. Z tej szóstki Krugerrand jest monetą najstarszą (pojawiała się na rynku w 1967 r.), dlatego wśród części inwestorów Krugerrand uważany jest za monetę numer 1. Druga złota moneta pojawiła się w 1986 r. To Australijski Kangur, który jest jedyną monetą mającą co roku inny rewers. Ten kangurek co roku wygląda nieco inaczej. Jest to też jedyna moneta fabrycznie pakowana w kapsel, czyli przezroczyste pudełeczko. Rok 1989. Pojawia się Wiedeński Filharmonik, jedyna moneta, która ma euro na awersie. Moneta bardzo popularna. Po pierwsze - bardzo ładna, po drugie - jest nam najbliższa rejonowo, po trzecie - jest bardzo charakterystyczna, bo ma największą średnicę (39 mm), pozostałe mają ok. 33 mm. Taki duży krążek robi wrażenie, ale uncja to uncja i przy swojej średnicy Wiedeński Filharmonik jest monetą najcieńszą. Przeciwnieństwem Wiedeńskiego Filharmonika jest Kanadyjski Liść Klonowy, którego średnica wynosi 31 mm i stąd jest najgrubszy. W 1987 r. pojawiła się Britannia. Choć jest starsza niż Wiedeński Filharmonik, niektórzy wciąż kwestionują jej miejsce w wielkiej szóstce. Ale to moneta bardzo ciekawa. Ma uncję złota próby 999, ale nie zawsze tak było. Na początku była tam domieszka miedzi, jak w przypadku Krugerranda i Orła. Britannia jest piękna. Falujące tło, hologram w małym kółeczku, pierścieni z mikronapisami oraz zmienna grafika kłódki, która zmienia się pod różnym kątem patrzenia. Tym samym jest to bardzo dobrze zabezpieczona moneta. Ale to najnowsza wersja. We wcześniejszych tło było gładkie i nieco inaczej wyglądała Britannia, czyli ta postać. Do momentu wprowadzenia do obiegu Britannii, za najlepiej zabezpieczoną monetę uchodził Kanadyjski Liść Klonowy (w obiegu od 1979 r.), ze swoim małym listkiem nazywanym hologramem, w którym jest aktualna data. Dodatkowo w nowych wersjach mamy coś, co według producenta jest nazywane jako Bullion DNA. Chodzi o to, że liść klonowy wybitych na rewersie umieszczono na tle jakby promieni słonecznych, które wplecione są w kod kreskowy. Mennica kanadyjska dysponuje specjalnym urządzeniem, które jest w stanie odczytać ten kod kreskowy i tym samym dodatkowo potwierdzić autentyczność monety. Krugerrand oprócz tego, że najstarszy, to jest jedną z dwóch monet, które mają domieszkę innego metalu, tu jest akurat miedź. Co sprawia, że to jest próba 916,6, a moneta waży nie 31,1 g, jak by to wynikało z uncji trojańskiej, ale 33,93 g - to masa całkowita tej monety, w tym zawartość miedzi to 2,82 g. Krugerrand też ma zabezpieczenia, ale to moneta, która wizualnie nie zmieniła się w ogóle od 1967 r., natomiast od 2017 r. pod tylną nóżką skoczniaka antylopiego jest mikronapis Krugerrand, widoczny pod bardzo dużym powiększeniem. Amerykański Orzeł istnieje od 1986 r. Piękna moneta, ale cena jej zakupu jest znacząco wyższa od pozostałych, co sprawia, że mimo iż jest to moneta kanonowa, czyli z wielkiej szóstki, to jednak nie cieszy się większym zainteresowaniem. Podobnie jak Krugerrand, Orzeł ma domieszkę innego metalu. Też o wadze 2,82 g, ale tu ten dodatek jest podzielony na miedź i srebro. Więc ta moneta nie jest czerwonawa, jak Krugerrand, kolor Orła jest bladozłoty. Oprócz tego Orzełka mennica USA ma też przepiękną monetę, subiektywnie mówiąc, Amerykańskiego Bizona. Bardzo rzadko go mamy, bo jak wszystkie monety amerykańskie, jest droższy od innych. Ale ta moneta ma swoisty sznyt, jak z dawnych wieków. Pięknie ukształtowane są wszystkie elementy. Niestety, kosztuje kilkadziesiąt złotych więcej, a przy odsprzedaży nie ma się co spodziewać, że dostaniemy więcej, więc nie za bardzo cieszy się powodzeniem. Kiedy złoto było tańsze, relatywnie niedawno, za 60 tys. zł można było mieć sześć monet, teraz trzy. I wtedy klienci wybierali jednego Kangurka, jeden Listek, Filharmonika, Krugerranda i Orzełka. Teraz, kiedy złoto jest dużo droższe, to ludzie pytają: „Które najtańsze?” i nikt nie zwraca uwagi na te droższe monety. Choć są bardzo ładne. Cały czas mówimy o monetach inwestycyjnych, które są jakby sztabkami w kształcie monet.

RZUCIŁ SZKOŁĘ, STWORZYŁ FIRME I SPEŁNIA MARZENIA

– Dziś są takie czasy, że niekoniecznie wiedzę i umiejętności trzeba zdobywać w szkole – mówi 19-letni Szymon Sułkowski z Sulechowa, który w wieku 17 lat rzucił technikum i postanowił budować swoją firmę, a nie siedzieć w ławce. Dziś prowadzi agencję marketingową, która obsługuje ponad 50 restauracji w całej Polsce, a w 2025 roku przekroczyła 1 mln zł przychodu

Leszek Kalinowski

Szymon Sułkowski od zawsze chciał być wolnym człowiekiem, podróżować, poznawać nowe miejsca i ludzi. Chciał być sobie sterem, żeglarzem i okrętem... Ale czy można tak żyć, mając naście lat? Najpierw ukończył więc Szkołę Podstawową nr 3 w Sulechowie. Potem dostał się do Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego „Elektronik” w Zielonej Górze. Szkoła fajna, ale jak w każdej takiej placówce trzeba się poddać określonym zasadom. A jego nosiło...

Bez szkoły? Jak tak można!

– Moja działalność zaczęła przynosić konkretne zyski, gdy jeszcze chodziłem do szkoły. Wtedy pomyślałem, żeby zostawić naukę i zaryzykować. Wiedziałem, że to jest odpowiedni czas. Dlaczego? Bo to w młodości, kiedy nie mamy żadnych ograniczeń, warto podejmować takie decyzje. Nawet jak nie wyjdzie, poniesie się porażkę, to nic wielkiego się nie stanie. Zdobędziemy nowe doświadczenie, będziemy mądrzejsi na przyszłość – mówi. – Później podjęcie takich decyzji jest znacznie trudniejsze: są rodzina, żona, dzieci. Odpowiedzialność za ich los.

Ale, jak dodaje sulechowianin, w jego wypadku to też nie było łatwe. Bo jak oznajmić rodzinie, że rzuca się szkołę? Przecież to wykształcenie ma być gwarancją sukcesu zawodowego.

– Moja mama jest nauczycielką. Podobnie jak była nią moja śp. babcia. Dla nich moja decyzja nie była łatwa do zaakceptowania. Nie do pomyślenia – wspomina. – Ciężko im było przełknąć taką decyzję. Nie chciałem więc tak radykalnie rezygnować z nauki. Zapisalem się do zaocznego Liceum Ogólnokształcącego, ale od razu wiedziałem, że i jego nie skończę, bo mam inny plan na siebie.

Już jako 14-latek podejmował się różnych prac w Sulechowie. Chciał mieć swoje pieniądze i zdobywać wykształcenie. Interesowały go coraz bardziej marketing, reklama, sprzedaż online. W internecie szukał na ten temat informacji, uczył się, ile tylko mógł.

– Wiele rzeczy jest po angielsku. Doceniam teraz fakt, że miałem dodatkowe, prywatne lekcje tego języka – przyznaje. – Mogłem uczyć się tego, co było mi potrzebne. I próbować metodą prób i błędów. Porażkę traktowałem jako naukę. A dzięki internetowi mogę pracować tak jak chcę, z każdego zakątka świata. Wtedy, kiedy potrzebuję. Nie wyobrażam sobie siedzenia ośmiu godzin w biurze – to nie dla mnie.

Rodzice się zgodzili

Swoją firmę zarejestrował w kwietniu 2023 roku. Osoba niepełnoletnia może prowadzić w Polsce jednoosobową działalność gospodarczą. Jednak uzyskanie wpisu w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) wymaga zgody obojga rodziców.

– Zacząłem od marketingu lokalnej restauracji, w której pracowałem jako kelner. Właściciel dał mi szansę. Udało się, teraz ma jeszcze dwie inne restauracje, także w Zielonej Górze. Współpracujemy ze sobą. Postawiłem wszystko na jedną kartę, na siebie – podkreśla. – Dziś pracuję zdalnie z różnych krajów i rozwijam firmę w branży, która wymaga

tempa, odpowiedzialności i konkretów. Na samym początku sam się odzywałem do restauratorów, teraz to oni zgłaszają się do nas. Najlepszą reklamą są dla nas opinie naszych klientów. Działamy długoterminowo, umowy podpisujemy minimum na trzy miesiące. W ciągu dwóch lat mały projekt przerodził się w Foodie Media – agencję współpracującą dziś z ponad 50 restauracjami w całej Polsce. Zbudowałem zespół ekspertów, który łączy reklamy, social media, wizytówki Google i cały marketing online w jeden spójny system. Dziś nie jesteśmy zwykłą agencją. Jesteśmy partnerem restauratorów, którzy codziennie wkładają serce w swój biznes – pomagamy im rosnąć, przyciągać gości i budować markę, która naprawdę działa.

Zespół ekspertów zebrał przez internet

Jak zebrał swój zespół? Zdalnie, z niektórymi do dziś nie spotkał się osobiście.

Małgorzata Konopka: 1,5 roku temu trafiłam na ogłoszenie Szymona na grupie uczestników kursu. Szymon mimo młodego wieku jest bardzo dobrze zorganizowany i ma konkretne plany na przyszłość oraz rozwój, decyzję podjęłam więc bardzo szybko. Bardzo cenię sobie współpracę z Szymonem i cieszę się, że mogę być częścią Foodie Media.

Jakub Latusek: Po pierwsze, znalazłem reklamę w internecie. Po analizie stwierdziłem, że Szymon może być



Szymon w 2025 roku spędził łącznie 4 miesiące za granicą, odwiedzając 10 krajów

dobrym partnerem biznesowym. Po drugie: Szymon od początku był osobą rzetelną, kreatywną, z głową pełną pomysłów. Od pierwszej rozmowy wiedziałem, że będzie to osoba, z którą będę chciał działać długofalowo, bo jego wizja agencji dla gastronomii mocno mnie przekonała.

– To firma, która nie jest zwykłą agencją marketingową. Klienci często podczas prywatnych rozmów traktują nas jak swoich partnerów biznesowych, co powoduje, że mając takie zaufanie, dajemy z siebie 100 procent, aby

druga strona była zadowolona. Lubię pracować w niej, bo czuję, że tworzę coś większego, dzięki czemu mam realny wpływ na daną branżę – mówi Szymon Sułkowski.

Julia Sierota: Trafiłam na Szymona w czasie, gdy szukałam „siebie”, zaczynałam coś swojego. Pracowałam na etacie, ale na tamten moment wiedziałam, że miejsce, w którym jestem, to nie jest dobry pomysł. Bo potrzebuję praktyki. I tak pojawił się Szymon. Z ogłoszeniem, że szuka content creatora. Zaufałam mu, bo wiedziałam, że tak

młody człowiek ma albo wiele ambicji, albo wie, co z czym się je i nie boi się zaryzykować. Drugi aspekt był taki, że zawsze lepiej dogadywałam się z ludźmi w podobnym wieku i na pierwszej rozmowie czułam, że współpraca się uda. Pracuję mi się świetnie, mamy zgrany zespół z szybkim przepływem informacji i superwspółpracą. Zdecydowałam się rzucić etat, bo to praca, która daje możliwości rozwoju, kreatywności i tego, co lubię, czyli wolności – pracujesz z domu, układasz grafik pracy tak, aby wszystko było podpięte idealnie, ale bez stresu i przebywania 8 godzin w jednym miejscu.

Życ na własnych zasadach

Szymon przyznaje, że dziś jest w miejscu, w którym chciał być. Już w wieku 18 lat trzy tygodnie spędził w Wietnamie. To był sprawdzian, czy sam sobie poradzi. Potem były Indonezja, Maroko i wiele innych krajów, które zamarzył odwiedzić, poznać. W 2025 roku spędził łącznie cztery miesiące za granicą, odwiedzając 10 krajów.

– Ważne dla mnie jest także to, że moja rodzina jest dziś ze mnie dumna. Nie ma obaw i wątpliwości, że źle zrobiłem, idąc swoją drogą – dodaje. – Nie chcę spoczywać na laurach, ale nadal się rozwijam. I chciałbym w 2026 roku podwoić przychód agencji...

Największe marzenie

– Bardzo zależy mi na dobrych relacjach z ludźmi. Moim celem jest do 2030 roku kupić w Lubuskim 50 ha ziemi i wybudować wioskę, w której zamieszkałbym z bliskimi, z przyjaciółmi. Mielibyśmy tu własne, niezależne miejsce do życia, zwierzęta, zdrowe uprawy. Produkowalibyśmy swój prąd itd. – mówi Szymon. – Warto mieć marzenia, bo po to one są, by się spełniały.

MOJA DZIAŁALNOŚĆ ZACZĘŁA PRZYNOSIĆ KONKRETNE ZYSKI, GDY JESZCZE CHODZIŁEM DO SZKOŁY. WTEDY POMYŚLAŁEM, ŻEBY ZOSTAWIĆ NAUKĘ

pod PARAGRAFEM

KRÓTKO

W KINACH

Kulisy dziwnej sprawy Maxa Lindera

16 stycznia do kin wchodzi polsko-francuski dokument „Życie i śmierci Maxa Lindera” w reż. Edwarda Porembnego. Max ma wszystko, o czym mężczyzna może marzyć. Jest światowej sławy bogatą gwiazdą filmową. Jest żonaty z bardzo młodą i seksowną kobietą, z którą wychowuje 18-miesięczną córkę. Jednak 1 listopada 1925 r. świat nagle dowiaduje się, że Max Linder i jego żona, NINETTE PETERS, popełnili samobójstwo.

Is

W KSIĘGARNIACH

W Londynie nie jest już bezpiecznie

28 stycznia wydawnictwo MG przypomni nam kryminalną klasykę – powieść Edgara Wallace’a „Demon-szpieg”. Oto Wimbledon w latach 20. XX w., świat gentlemanów i złodziei sprzed 100 lat. Ale nagle pojawia się paser, który szantażuje złodziei i donosi na policję. Nikt nie wie, kim on jest. Wiele osób go poszukuje, wielu chętnie dokonałoby zemsty. Wreszcie i sam Scotland Yard traci cierpliwość do donosiciela. Zaczynają się łowy...

bb

ROČZNICA

Pamiętajcie o Dalym!

Za tydzień rocznica śmierci Carrolla Johna Daly’ego (14 września 1889 – 16 stycznia 1958) – amerykańskiego pisarza powieści kryminalnych, twórcy postaci Race’a Williamsa. Daly uchodzi za jednego z pierwszych pisarzy tworzących w nurcie noir, czyli czarnego kryminału. Po raz pierwszy opowiadanie z Williamem ukazało się w „Black Mask” w 1923 r., wyprzedzając o kilka miesięcy publikację tekstów Dashiella Hammetta z Continental Opem w roli głównej.

mg

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-histeryczny, nr 188. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski. Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

W ŚRODKU

Kajdanki zasługują na stosowną gawędę. Towarzyszą ludziom od starożytności – str. 2

Gdynia w lutym 1938 r. Miejskie kryminalia i święto 18. rocznicy „odzyskania morza” – str. 3

ZA TYDZIEŃ

Peaky Blinders: czas brutalności w kaszkietach

W popularnym serialu Tommy Shelby i jego ludzie przypominają gangsterów ery prohibicji. Niewiele ma to wspólnego z prawdą historyczną



Wielki pożar Krakowa w lipcu 1850 r. Przypadek czy podpalenie?



Tablica upamiętniająca tragedię na budynku Magistratu. Pożar z 1850 r., uznawany za jedną z największych klęsk żywiołowych w dziejach Krakowa, był zarazem ostatnim pożarem, który dotknął tak znaczny obszar miasta

Bożenna Piskala
redakcja@polskatimes.pl

Owego feralnego lata spłonęło 10 proc. zabudowy miasta: 160 kamienic i domów, Pałac Biskupi i pałac Wielopolskich, kościoły św. Franciszka z Asyżu, Świętej Trójcy, św. Norberta i św. Józefa.

Pożar wybuchł 18 lipca w młynach przy ul. Krupniczej, czyli na zachód od centrum miasta. Potem stało się – jak pisał kronikarz – „coś dziwnego”. Oto w upalny dzień zaczął nieoczekiwanie wiać silny wiatr, który błyskawicznie rozprzestrzenił

pożogę w kierunku środka Starego Miasta. Od wielu tygodni nie spadła ani kropla deszczu, dachy były suche jak siano, a niemal całe Śródmieście pokrywała łatwopalna dachówka gontowa. Wystarczyło kilka minut, by pożar ogarnął miasto. Z dymem poszły klasztory oo. Dominikanów, Franciszkanów i ss. Bernardynek. Oprócz zabytкового wyposażenia wnętrz tych świątyń utracono też cenne kolekcje dzieł sztuki i księgozbiory, zgromadzone w domach prywatnych. Pożar przyniósł ogromne straty materialne, spłonęło wiele mieszkań, sklepów i magazynów, wraz

z którymi przepadły majątki całych rodzin. Jak donosił krakowski „Czas”: „Z kilku domów wznosi się ciężki dym, tu i ówdzie pali się belka lub futryna od okna. Mury i kominy sterczą nagie, czarne, popalone, jako krzyże nad mogiłami dawnej egzystencji”. Według relacji Janiny Bieniarzówny ogień dotarł też na ul. Wiślną, gdzie zajął dachy kamienicy „Pod Zającem”, drukarni uniwersyteckiej oraz szkoły technicznej.

Nastąpił Apokalipsa

Jak zapisał Jerzy Zathej w „Pamiętnikach polskiej ro-

dziny”, mieszkańcom na myśl przychodziła biblijna Apokalipsa. Wiatr ciskał w powietrze tym, co znajdowało się na poddaszach i w lokalach płonących kamienic. „Rupiecie, odzież i papiery nagromadzone przez lokatorów, gonty oraz przepalone orzechy włoskie, które na co dzień służyły jako opał, fruwały z budynku na budynek. Płonęły drewniane ganki, schody, stajnie i szopy przytułone do murowanych kamienic”.

„Widok to był nie do opisania! Tam mieszkańcy wyrwający spośród płomieni, co jeszcze ratować się dało; dalej woj-

sko całe pod bronią; tu lud korzący się przed Bogiem Zastępów i o miłosierdzie nad resztą biednego miasta błagający!” – donosił „Czas”.

Z kolei historyk Fryderyk Hechel zauważał: „Gdyby w czasie palenia się wiatr na inną stronę miasta skierował się, całe miasto poszłoby w perzynę”. W biały dzień południowa część Rynku płonęła w najlepsze, a z Sukiennic zrzucono dach, by zapobiec jeszcze większej katastrofie, bowiem w środku zgromadzono towary, m.in. ogromne ilości spirytusu.

Ciąg dalszy na str. 2

Mariusz
Grabowski

KAJDANKI, KUMPLE POLICJANTA

Od archeologów wiemy, że pierwsze kajdanki - używano ich do krępowania więźniów i niewolników - znane były już w IV w. przed Chrystusem. Ponoć Grecy po jednej z bitew z Kartagińczykami na Sycylii znaleźli w ich taborach wozy pełne łańcuchów do skuwania rąk i nóg.

Anglicy i pewien Niemiec

W 1780 r. założono firmę Hiatt Handcuffs, która jako pierwsza na świecie zapoczątkowała zorganizowaną produkcję kajdanek, początkowo dość prymitywnych. Jednak dopiero w XIX w. przyjęły one kształt zbliżony do współczesnych. Wtedy też zaczęły być stosowane przez policję i w więzieniach, jako standardowe narzędzie do krępowania osadzonych. W 1862 r. W.V. Adams opatentował pierwszą regulowaną konstrukcję kajdankowej zapadki. Z kolei w 1879 r. John Tower wprowadził pierwszą konstrukcję kajdanek z podwójną blokadą.

W historii kajdanek nie mogło, rzecz jasna, zabraknąć Niemców. W 1893 r. Franz Holzhausen opatentował kajdanki policyjne z hartowanej stali, które składały się z dwóch łączonych ze sobą pierścieni, zaciskających się na nadgarstkach za pomocą specjalnego mechanizmu. Do tego dochodził kluczyk. Jego pomysł w 1912 r. udoskonalił George A. Carney. Dzięki jego tzw. mankietowi obrotowemu policjant mógł zapiąć przestępcy kajdanki jedną ręką.

Houdini w Rochester

Współczesne kajdanki to w zasadzie mechanizmy Holzhausena: składają się zwykle z dwóch otwieranych kluczem obręczy (zakładanych na ręce lub nogi) oraz łącznika, którym może być łańcuch, zawias, przegub lub stalowa linka. Ciekawą odmianą, jednak również bardzo skuteczną, są małe kajdanki zakładane jedynie na kciuki. Obecnie coraz częściej stosuje się też kajdanki samozaciskowe, zrobione z wysoko wytrzymałego tworzywa sztucznego - tzw. trytytki.

Ale to nie Adams, Tower czy Holzhausen uznani zostali za patrona kajdanek. Jest nim Węgier Harry Houdini (1874-1926), iluzjonista i magik, którego niezbędnym atrybutem w wielu występach były właśnie kajdanki systemu Holzhausena. Podczas jednego ze swoich kaskaderskich show wskoczył do rzeki Rochester w stanie Nowy Jork z rękami skutymi za plecami. Jak się z nich uwolnił - do dziś pozostaje sporne. Ale - jako że patronuje kajdankowemu biznesowi - pozostawmy mu tę tajemnicę.



Houdini podczas jednego ze swych pokazów, kiedy to uwalniał się od kajdanek pod wodą



KRAKÓW PŁONAŁ M.IN. W 1306, 1455, 1475, 1504, 1528, 1536, 1555, 1702 I 1755

Požoga Krakowa w lipcu 1850 r. Ślepy los czy podpalenie?

Ciąg dalszy ze str. 1

„Straszny widok”

Wiatr osłabł dopiero w nocy, a wraz z nim płomienie, jednak zagrożenie wciąż było realne. O świcie okazało się, że pożar zniszczył dwa klasztory, pałac i 153 inne budynki, w tym kamienice, stajnie, magazyny i sklepy. Wielu mieszkańców w jednej chwili straciło dorobek życia. „Każdy ocalały dom, każdy stryszek, a nawet piwnice przepełnione były ludźmi, którzy znaleźli się bez dachu nad głową” - wspominała dni po pożarze pochodząca z Krakowa aktorka Helena Modrzejewska w książce „Wrażenia i wspomnienia”.

Karolina Małas w tekście „Wystarczyła chwila, by Kraków zapłonął” (Onet, 18 lipca 2025 r.) zauważa: „Walka z mniejszymi

pożarami trwała jeszcze przez kilkanaście godzin, a ostatnie pogorzelisko zostało wygaszone dopiero pięć dni później. Tragedia zwróciła uwagę władz miasta na poważny problem, bo już na początku akcji gaśniczej okazało się, że Kraków dysponował tylko trzema sikawkami, a oddział straży pożarnej liczył tylko kilka osób i nie nadążał z gaszeniem, nawet mając do pomocy tzw. kolumnę ogniową, złożoną z krakowskich czeladników i robotników”.

„Czas” nr 167 z 23 lipca 1850 r. ubolewał: „Straszny jest widok naszego miasta: jako zamki porozwalane sterczą czarne, okapcałe mury, a przez okna wyzierają stosy zsypanych rumowisk, pod którymi przepadły na długo, może na zawsze, majątki naszych obywateli. Ze zgłiszczów kurzą się jeszcze gdzieś dymy, tli się w pu-

łapach ostatni ślad tej fatalnej plagi, która główną część miasta naszego w perzynę obróciła”.

Ofiary. Ile ich było?

W trakcie pożaru zginęło pięć osób - wszystkie straciły życie 18 lipca. Ich tożsamość udało się ustalić dzięki tekstom zawartym w „Czasie”.

W żywiole śmierć ponieśli: małżeństwo Żebrowskich - zginęli w swoim szynku na Gołębiej, którego nie chciał opuścić mąż; starsze wiekiem małżeństwo Ziobrowskich - zaskoczeni ogniem nie zdążyli opuścić swojej kamienicy na Gołębiej; niejaki Filipowski, właściciel domu na Stolarskiej, starszy wiekiem, z racji choroby został przeniesiony do klasztoru dominikanów (jako bardziej bezpiecznego miejsca), lecz gdy pożar ogarnął i te zabudowania, nie zdołał się uratować.

Do tej listy ofiar można też dodać 60-letnią służącą urzędnika Zakrzeskiego, która uciekając z płonącego domu, wyskoczyła przez okno i zmarła w wyniku odniesionych obrażeń. Oprócz tego w „Czasie” znalazły się wzmianki o śmierci kilkorga dzieci, lecz nie zostały one potwierdzone.

Liczba rannych jest dokładniej nieznana, z pewnością jednak była dość znaczna. Ludzie odnosili obrażenia zarówno uciekając przed ogniem, jak i próbując walczyć z żywiołem. Wiadomo jedynie, że podczas akcji gaszenia pożaru 15 spośród krakowskich policjantów zostało rannych, jeden zaś miał ponieść śmierć, ale informacja ta nie została potwierdzona. Prócz tego kilku uczestników akcji gaszenia pożaru na Kleparzu 26 lipca odniosło dość dotkliwe obrażenia.



Teodor Stachowicz: „Śródmięście dnia 18 lipca 1850 r.”. Ratowanie płonących ulic: Franciszkańskiej, Szerokiej i Grodzkiej

Polityczny zamęt

Niemal od chwili zatrzymania żywołu pojawiły się pytania, czy nie był on spowodowany celowo. W mięście wciąż żywe były wspomnienia nieudanego powstania w lutym 1846 r., które miało w zamierzeniu objąć tereny wszystkich zaborów, i zrywu w 1848 r., kiedy to do miasta dotarły echa lutowej rewolucji w Paryżu i marcowych zamieszek w Wiedniu.

26 kwietnia 1848 r. pod kulami armatnimi poległy 32 osoby. Miasto zostało sterroryzowane, a dzień pogrzebu ofiar na cmentarzu Rakowickim stał się w Krakowie dniem żałoby narodowej. „Po mszy w kościele Mariackim 17 trumien (tyle osób pochowano w Krakowie) niesiono na barkach w kondukcje żałobnym przez ul. Sławkowską na Kleparz, dalej wzdłuż Plant na cmentarz w Rakowicach” – donosił „Czas”. „Na wszystkich trumnach były czapeczki czerwone, krakuski z piórem pawim i girlanda z kwiatów one otaczała”. Trumny złożono do jednej wspólnej mogiły.

W następstwie tych wydarzeń w Krakowie zapanował porządek policyjno-wojskowy. 28 kwietnia wydano przepisy policyjne nakazujące wykonanie warunków kapitulacji. Zakazano wszelkich zebrań i zgromadzeń, przemawiania do ludu z okien i balkonów, zdzierania ogłoszeń rządowych, wprowadzono uciążliwe przepisy meldunkowe. Zażądano również,

by Trybunał Miasta Krakowa wszczął dochodzenie wobec sprawców zaburzeń sprzed kilku dni.

Domysły, hipotezy

Jak na ironię losu w tymże samym dniu, tj. 28 kwietnia, ogłoszono reskrypt cesarski nadający konstytucję krajom austriackim. W Krakowie natomiast rozpanoszyła się „przemoc i buta żołnierska; rozrużchwaleni żołnierze ustawicznie prowokowali ludność to szyderczymi pieśniami i obelgami, to raz wraz ponawiającymi się burdami i zaczepkami. Przygnębienie zapanowało w całym mięście” – pisał Józef Gollenhofer w 1908 r., w tomie „Rewolucja krakowska 1848 roku”.

Czy zatem pożar miał coś wspólnego z polityką? Czy byli w mięście tacy, którym zależało na niepokoju wśród mieszkańców? Może wśród niektórych środowisk wciąż żywe były nastroje insurekcyjne? Nie wykluczano sabotażu – zatrzymano kilku podejrzanych spośród krakowskiego elementu, spekulowano o prowokacji, które miały zmusić „czynniki w Wiedniu” do „radikalnych działań”.

Takie opinie można było przeczytać nawet na łamach „Czasu”. Jak zauważa Władysław Wic w rozprawie „Rok 1848 w Krakowie”, od 25 marca 1848 r. przybywały do Krakowa grupy więźniów politycznych, głównie ze Spielbergu k. Brna. Społeczeństwo w tamtych dniach wy-

kazało wielką ofiarność i sympatię dla uwolnionych więźniów i emigrantów powracających z zachodu, zwłaszcza z Francji” – pisze Wic.

Na tropie podpalaczy

Jeszcze w trakcie pożaru krakowski „Czas” podawał, że aresztowano podejrzane osoby, które mogły wzniecić ogień, co miały potwierdzać znalezione przy nich przedmioty. 18 lipca generał-major Hławaczek, dowódca garnizonu, osobiście zatrzymał mężczyznę z siarką, świecą i paczką prochu, owiniętą w bawełnę. Natomiast mecenas Boguński, właściciel kamienicy nieobjętej jeszcze pożarem, złapał 10-letniego chłopca, który próbował wbiec na strych budynku z łatwopalnymi materiałami. Trzymano ich w odwachu przy Wieży Ratuszowej lub w Krzysztoforach, pełniących funkcję koszar wojskowych.

19 lipca pod kościołem Mariackim znaleziono podrzuconą siarkę. Krążące wśród ludności

„Silny wiatr wkrótce rozniósł ogień na sąsiednie budynki przy Krupniczej oraz kilka położonych po drugiej stronie Młynówki. Na miejscu szybko pojawiła się straż pożarna oraz liczni mieszkańcy, którzy próbowali ugasić ogień lub przynajmniej uniemożliwić dalsze rozszerzanie się pożogi”.

Ciekawe informacje na temat pożaru przytaczają Tomasz Seitz i Maciej Bojarski w tekście „Rudawa i Wielki Pożar Krakowa 1850”, zamieszczonym w piśmie Wodociągów Miasta Krakowa „Woda i my” (nr 91, grudzień 2019 r.).

Czytamy tam: „Aby przedstawić wszystkie fakty, powinniśmy również uwzględnić działania austriackich władz zaborczych, a ich postawa nie była bierna. Członkowie garnizonu badali przyczyny pożaru, poszukiwali potencjalnych podpalaczy, o istnieniu których pogłoski szybko się rozniósł. Pomimo że śledztwo ostatecznie wykazało, że ogień zaprószone został przypadkowo, a winnych nieumyśl-

STRATY PO POŻARZE OSZACOWANO W PRZYBLIŻENIU NA PONAD 8 MLN ZŁOTYCH REŃSKICH – ZAWROTNA SUMA JAK NA ÓWCZESNE CZASY

plotki mówiły, że ogień w kościele św. Józefa miał pojawić się nie od zewnątrz, ale na strychu, zaś kościół oo. Dominikanów ponoć zaczął palić się od strony ul. Szerokiej, kiedy ta jeszcze nie była objęta płomieniami.

Na Krowodrzy omal nie doszło do samosądu nad mężczyzną, przy którym znaleziono proch. Aby uspokoić ludność, dowództwo garnizonu zapowiedziało wprowadzenie sądu wojennego, który w ciągu doby osądzi i skaze ewentualnych podpalaczy. Informacja o tym spotkała się z przychylną reakcją mieszkańców miasta.

Jednak przypadek?

Jednakże, jak wykazało później oficjalne śledztwo, w „grę nie wchodziły sprawy kryminalne ani polityczne” – pożar miał „rozpocząć się przypadkowo”, a jego nieumyślnymi sprawcami byli młynarczyk Piotr Fic i Jan Trójka, terminator u kowala Ignaszewskiego. Taki raport wydrukowano w 181. numerze „Czasu” z 8 VIII 1850 r. na pierwszej stronie.

Wedle raportu śledczego „tego dnia pracowali nad dopasowaniem żelaznej obręczy na wał koła młyńskiego, którą w tym celu musieli rozgrzać. Jednak od zapalonego w izbie czeladnej ognia zajęły się cewie, drewniane kliny do kół młyńskich, suszone w kominie. Pożaru nie udało się ugasić, zaś młyn błyskawicznie stanął w płomieniach.

nego spowodowania pożaru postawiono przed sądem, do końca roku kolejne niewielkie pożary część mieszkańców miasta brała za dzieło podpalaczy”.

Powstaje nowy Kraków

Po wydarzeniach w 1846 r. i 1848 r. Kraków dotknęła głęboka zapaść ekonomiczna. Zerwane zostały dotychczasowe więzi gospodarcze z otoczeniem, choćby z powodu granicy celnej z Królestwem Polskim. Kraków pozostawał miastem zapóźnionym cywilizacyjnie, pozbawionym nowoczesnych wodociągów i kanalizacji i w niczym nie przypominał dawnego dumnego królewskiego i stołecznego miasta.

„Najsmutniejsze to chwile w dziejach Krakowa; ulice całe zawałone gruzami, których obywatelstwo nie sprząta nawet, bo wszystkich opuszcza jakaś apatia (...). Na Wawelu, gdzie zasiadali królowie, teraz dom przytułku dla starców niedołężnych i kalek lub koszary dla wojska, w ratuszu burmistrzje urzędnik mianowany przez namiestnictwo” – pisał o mięście literat Władysław Sabowski.

Dlatego też po zakończeniu akcji gaśniczej oraz udzieleniu pomocy najbardziej potrzebującym, władze miasta i jego mieszkańcy stanęli przed koniecznością odbudowy spalonej dzielnicy. Jak z tego wybrnięto, to jednak opowieść na zupełnie inny temat.

KARTKA Z KALENDARZA/ PITAWAL POMORSKI



Gdynia tuż przed wojną. Ulica Świętojańska widziana z lotu ptaka, w tle stocznia

Gdynia w lutym 1938 r. Co działo się wtedy w mięście?

Na stronie Trojmiasto.pl znaleźć można tekst Jarosława Kusa z 2018 r. pod intrygującym tytułem „Gdy do głosu dochodzą »kulturalni« chuligani”. Autor przywołuje wydarzenia, które miały miejsce w lutym 1938 r., związane pośrednio ze świętem – jak wtedy pisano – „odzyskania morza”.

Tamtego roku obchody święta, przypadającego tradycyjnie na dzień 10 lutego, przeniesiono na niedzielę 13 lutego, co miało zapewnić tłumny udział gdynian w patriotycznych manifestacjach. Kus sięgnął zatem do archiwalnych numerów „Gazety Gdańskiej”, polskojęzycznego dziennika z siedzibą w Drukarni Gdańskiej.

„Usiłował zniewolić”

Oto kilka dni przed obchodami, w lesie orłowskim, który – jak zaznaczali redaktorzy „Gazety Gdańskiej” – „podlegał specjalnej ochronie jako tereny pod przyszły park narodowy”, zaobserwowano „różnych ludzi, którzy nocą i nad ranem wycinają drzewa, zabierając je do domu na opał”. Na kradzieży „przytrzymano kilka osób” i z miejsca ukarano je aresztem oraz grzywnami.

Jednak czasem taka kara była stanowczo zbyt mała, zwłaszcza jeśli miało się do czynienia z takimi przypadkami, jak 19-letni „zwyródnialec”, który napadł na mieszkankę Gdyni Zofię K., przechodzącą ul. Pomorską. „Opryszek – czytamy w „Gazecie” – wyrwał kobiecie torebkę, a następnie wciągnął ją do pobliskiego lasku i tam usiłował »zniewolić«”. Na szczęście kobieta zdołała zbiec.

Daj pan wekselek

Czasami człowiek musi ponieść konsekwencje własnych czynów, co często przytrafia się pozbawionym wyobraźni dzieciom. Tak rzecz miała się z pewnym 9-latkim z ul. Świętojańskiej, który ryzykowną jazdę na stopniu auta przypłacił „zaledwie” złamaniem ręki. Trudno jechać na samochodowym błotniku, zauważa Kus, a jeszcze trudniej na fałszywym „wekselku”. Przekonał się o tym niejaki Nowaczyk z poznańskiego, usiłujący przy pomocy fałszywych wekselków dyskontować w różnych firmach, „tytułem należności za zakupioną tam manufakturę”.

Gdynianie byli już na punkcie fałszerstw mocno przewrażliwieni, a ofiarą tej nadwrażliwości padali czasem Bogu ducha winni obywatele, jak np. pewien kinoman, któremu to kasjer kina „Lido” zakwestionował 2 monety 50-groszowe jako „wątpliwej wartości”.

Uwaga, pali się!

Znacznie poważniejsze zdarzenia miały miejsce już po święcie, 17 lutego 1938 r., po godz. 16. To wtedy w centrum miasta dały się zauważyć kłęby gęstego, ciemnego dymu, wydobywające się z piwnicy jednego z domów przy ul. Świętojańskiej.

W nr 31 z 18 lutego „Gazeta Gdańska” donosiła w sensacyjnym tonie: „w znanej gdynińskiej fabryce stempli przy ulicy Świętojańskiej 9 nastąpił wybuch płynnego kauczuku, przygotowanego do wyrobu pieczętek gumowych”. Powiało grozą. Na miejsce zdarzenia dotarła straż pożarna, „pożar zlokalizowała po dłuższym czasie i ugasiła, zalewając całe podziemie wodą”. Do szpitala odwieziono poparzonego 18-letniego pracownika poszkodowanego wskutek zatrucia gazami.

opr. pisk

Na przełomie wieków XVI i XVII godność i urząd burmistrza Lublina piastował Sebastian Konopnica. Pochodził z zacnej i zamożnej rodziny mieszczańskiej. Ślady ich bogactwa przetrwały do dnia dzisiejszego. Jednym z nich jest renesansowa kamienica, wznosząca się na Rynku Starego Miasta pod numerem 12. Należy bez wątpienia do najpiękniejszych budowli w Lublinie. Pierwsze wzmianki o kamienicy pochodzą z początku XVI wieku. Miała wielu właścicieli, ale dopiero Konopnica nadał jej blask i uczynił jednym z najpiękniejszych domów w mieście. Sebastian Konopnica miał z żoną Katarzyną z Kretków troje dzieci: synów Aleksandra i Andrzeja oraz córkę Barbarę, która była oczkiem w głowie ojca. Tak jak mężczy przedstawiciele rodu słynęli z odwagi i przedsiębiorczości, tak Konopniczanka odznaczała się niepospolitą urodą i wdziękiem niewieścim. Barbara, piękna i powabna panna, zasłynęła jako bohaterka sensacyjnej historii miłosnej.

Serce miała już zajęte

W roku 1602 Basia liczyła 14 lat. Była zatem dziewczynką, ale w tamtych czasach czternastolatki wydawano za mąż. Mężczyźni oglądali się za nią, gdy dumnie kroczyła przez Rynek lub wysiadała z kolaski. Niejeden z radością by ją poślubił. Nie tylko pojąłby za żonę cudnej urody niewiaście, ale zgarnąłby hojny posag burmistrzówny. Jednak serce Konopniczanki było już zajęte. Kochała się z wzajemnością w Janie Rudnickim, młodym szlachcicu i dziedzicu podlubelskiego majątku Rudnik.

Rudnicki często bywał w Lublinie. Odwiedzał karczmy i gospody, gdzie nie tylko sycił głód i pragnienie, ale popisywał się sztuką fechtunku, wyzywając na pojedynki każdego, kto miał odwagę skrzyżować z nim szablę. Pod jedynym tylko warunkiem - rywal musiał być mu równy urodzeniem.

Zapewne któregoś razu napotkał nadobną Barbarę i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Dziewczynę także zauroczył przystojny zabijaka z podkręcanym czarnym wąsem. Jednak ich miłość napotkała liczne przeszkody.

Konopnica pragnął aby córka poślubiła człowieka, który tak jak on opływał w bogactwa. Strzegł jej czci jak skarbu, ale pochłaniały go obowiązki burmistrza i rajcy lubelskiego. Jego liczne zajęcia sprawiły, że Barbara wykorzystała okazję, żeby wymknąć się spod czujnej ojcowskiej kurateli. Pod pozorem niesporów lub kupna nowej zapaski na jarmarcznych straganach wymykała się z domu i spotykała potajemnie z Janem, który zawczasu, przez umyślnych posłańców informował ją, kiedy stanie w Lublinie.

Ich miłość rozkwitała i myśleli o związku małżeńskim. Oboje byli młodzi i niezbyt doświadczeni życiowo. Nie dostrzegali więc ciemnych chmur, które gromadziły się nad nimi.

Musieli przełożyć zaręczyny

Rodzice wkrótce dowiedzieli się o ich sekretnym związku. Konopnica, zaledwie usłyszawszy nazwisko „Rudnicki” wpadł w wielki gniew i wykrzyknął, że nie odda mu Barbary. Nie żeby miał coś osobistego do tej rodziny. Rudniccy byli szlachtą herbową i uznana, z licznymi zasługami dla Rzeczypospolitej.

Ale byli biedni jak myszy kościelne. Jan gospodarował na kawałku lichej ziemi i tylko pozował przed miejskimi dziewczkami na wielkiego pana i utracjusza. Miał pokaźne długi, których nie pałał się regulować. Na męża dla córki burmistrza absolutnie się nie nadawał. Co by ludzie powiedzieli!

Ponieważ dziewczyna uparła się, że albo wyjdzie za Jana Rudnickiego albo wstąpi do klasztoru względnie zrobi sobie coś złego, ojciec Barbary znalazł sposób, żeby wybić jej z głowy tę niedorzeczną miłość. Nie upłynęło dużo czasu, gdy znalazł jej narzeczonego! Nie jakiegoś golca, czy birbanta, łasego na posag, lecz Hanusa, statecznego młodzieńca z bogatego rodu, syna znamienitego rajcy miejskiego, niejakiego Lemki.

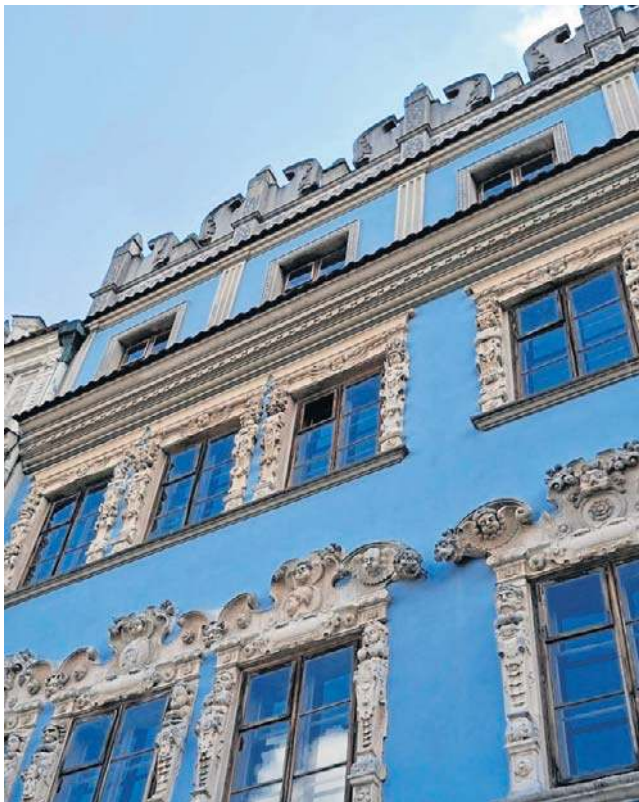
Hanus pobierał nauki medyczne w Akademii Krakowskiej i czekała go świetlana kariera chirurga. Konopnica i stary Lemko wszystko już zdążyli obgadać. Ustalili nawet datę zrębowin dwóch dzieci na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1602 r.

Mimo iż Barbara oświadczyła, że nie wyjdzie za Hanusa, Sebastian Konopnica tylko uśmiechnął się pod suimiastym wąsem. Kogo obchodził zdanie niedoroślej dziewczki? Skoro on wszystko ustalił, to tak jakby ślub już się odbył. Ucztę z okazji zaręczyn wyprawiono w odświętnie przystrojonej kamienicy burmistrza, jadało i trunki były wyborne a gości przybyło mnóstwo.

BRAWUROWE PORWANIE W TRZECH KRÓLI

Porwanie było zaplanowane i perfekcyjnie przeprowadzone. Co ciekawe, uprowadzona dziewczyna nie protestowała. Nie był to przejaw syndromu sztokholmskiego, ale wielka romantyczna miłość, która zwycięża wszelkie przeciwności losu

Mariusz Gadomski



Renesansowa kamienica przy Rynku w Lublinie należąca onegdaj do mieszczańskiej rodziny Konopniców

Jednak przyjęcie nie przebiegło po myśli burmistrza. Barbara zamknęła się w swojej komnacie i nie chciała się pokazać Hanusowi. Rodzice na próżno prosili ją, żeby wyszła i nie robiła im wstydu przy tylu znamienitych gościach. W tej sytuacji zaręczyny przełożono na

Trzech Króli. Konopnica był przekonany, że do tego czasu uda mu się zmieknąć hardość córki.

Bądź w kościele i ciepło się ubierz

Nic bardziej mylnego. Gdy tylko nadarzyła się okazja, Barbara posłała zaufanego pachołka do Rudnika, z wiadomością dla Jana o zaistniałej sytuacji. Rud-

nicki wkrótce stawiał się u Konopnicy. Przysiągł na honor szlachecki, że Barbary nie pokrzywdzi i zrobi wszystko co w jego mocy żeby zapewnić jej dostatnie życie. Niestety, burmistrz był nieprzejeźdny. Kazał mu wyjść i nigdy więcej się u nich nie pokazywać.

Zapłakana Konopniczanka wyjednała u rodziców pozwolenie na chwilę rozmowy z ukochanym. Chciała go pożegnać na zawsze, lecz Rudnicki nie wydał się ani trochę załamanym. Szepnął, że nie wszystko stracone. Nie wrócił do Rudnika. W kolejnych dniach wielokrotnie odwiedzał karczmy i gospody lubelskie. Ale nie po to, żeby raczyć się przednim mio-

dem czy szukać swary. Z ożywieniem, ale ściszym głosem rozprawiał o czymś z przyjaciółmi, ledwie tylko mocząc usta w kufiu.

Jeszcze przed Nowym Rokiem wysłał do Barbary posłańca z sekretnym i nieco zagadkowym listem. Napisał, żeby w Trzech Króli była w kościele i żeby ciepło się ubrała.

Szerokim łukiem ominął Rudnik

W święto Trzech Króli, w Lublinie padał śnieg. Barbara, zgodnie z umową z Janem, udała się do kościoła na sumę. Być może był to kościół świętego Michała Archanioła na placu Po Farze, z którego wychodziło się na ulicę Grodzką. Miała na sobie kożuszek, który podkreślał jej zgrabne kształty i dobrze chronił przed mrozem. Panny z dobrego domu nie wypadało samej chodzić po ulicach, więc towarzyszyła jej matka. Dziewczyna nie знаła zamiarów ukochanego, być może nie wtajemniczał jej, obawiając się, żeby niebaczny słowem nie zniweczyła planu. Była przekonana, że Jan chce raz jeszcze ją zobaczyć, zanim zniknie z jej życia.

Zgodnie z zapowiedzią Rudnicki czekał przed świątynią. Ukłonił się pięknie matce i córce a gdy weszły do środka, on także wślizgnął się do nawy. Barbara wychodząc po nabożeństwie, już go nie widziała. I tak to już koniec - pewnie pomyślała ze smutkiem, przełknęła dławiące ją łzy i posłusznie, pogodzona z losem ruszyła z matką do domu.

Jakaż była radość dziewczyny, gdy ujrziała Jana u wylotu ulicy Grodzkiej. Stał obok sań zaprzęzonych w parę rączych koni. Liczni świadkowie zdarzenia powiadomili, że gdy Konopniczanka podeszła bliżej, szlachciskoczył między nie jak ryś, porwał Barbarę w objęcia i usadził w saniach. Usiadł na koźle, świsnął na konie i sanie ruszyły jak błyskawica, wzbijając na ulicy śnieżny pył. Po chwili zniknęły za Bramą Krakowską.

Nie upłynęło dużo czasu, gdy Sebastian Konopnica dowiedział się o porwaniu córki przez Rudnickiego. Kazał zaprzęgać konie

i na czele uzbrojonego oddziału pachołków ruszył na Rudnik. Był przekonany, że bezczelny szlachetka uprowadził Barbarę do rodzinnego gniazdko. Zamierzał ją odbić, nawet jeśli miałaby się krew przy tym polać. Jakież było jego zdumienie, kiedy okazało się, że w Rudniku nie ma ani córki, ani człowieka, który dopuścił się względem dziewczyny raptu. Szukano w całym majątku, nawet w chatach chłopskich - na próżno.

Jan Rudnicki był nie tylko znakomitym szermierzem, ale okazał się również niezgorszym strategiem. Przewidział, że Konopnica będzie chciał odbić córkę w pierwszej kolejności najedzie Rudnik. Dlatego, wybierając drogę ucieczki, szerokim łukiem ominął rodzinny majątek.

Gdy uzbrojona tłuszcza Konopnicy przetrząsała zabudowania dworskie w Rudniku, zaglądając do każdego kąta i każdej dziury, Jan i Barbara byli w drodze do Dublan. Do tych samych Dublan w lwowskim obwodzie, gdzie dwa i pół wieku później powstała słynna w całej Europie szkoła rolnicza.

Nigdy nie wybaczył córce

Dotarli tam po kilku dniach podróży, wzięli ślub. Wkrótce wysłali do Konopnicy list, informując, że są już mężem i żoną. Barbara zapewniała, że wyszła za Rudnickiego bez przymusu i jest z nim szczęśliwa. Prosiła ojca o wybaczenie i udzielenie błogosławieństwa.

Stary Konopnica nigdy jej nie wybaczył. Do śmierci (w 1608 r.) chował urazę. Próbował nawet przed sądem biskupim i na dworze króla Zygmunta III Wazy unieważnić małżeństwo Barbary i Jana.

Ponieważ nic w tej materii nie wskórał, za karę pominął córkę w testamencie. Majątek, w tym piękną kamienicę na Rynku, podzielił między synów Aleksandra i Andrzeja. Pomimo tego Rudniccy żyli długo i szczęśliwie, ciesząc się dobrym zdrowiem. Najprawdopodobniej osiedli na stałe w Rudniku. Dochowali się gromadki dzieci i wnuków. ©

BARBARA ZAPEWNIŁA OJCA, ŻE WYSZŁA ZA RUDNICKIEGO BEZ PRZYMUSU I JEST Z NIM SZCZĘŚLIWA. PROSIŁA O WYBACZENIE I BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Opowieść o zbrodni, miłości i ludzkim poświęceniu

Pewnego letniego wieczoru Amanda Sundin znika bez śladu. Dokładnie rok później jej mąż Johan zostaje napadnięty we własnym domu. Kto i dlaczego chciał ich skrzywdzić?

„Aspirant Greg Wallin nalał kawę do termosu i sięgnął po papierową torbę z bułeczkami leżącą na blacie. Spojrzał na zegarek. Maia Bohm miała być na komendzie już kwadrans temu, ale nadal nie dostał od niej żadnej wiadomości.

- Bardzo proszę - zwrócił się do Noomi Sandström, wykładając bułeczki na półmisek. - Przerwa na kawę.

Niska dwudziestodziewięciolatka z fryzurą „od gamka” nie odpowiedziała. Już nieraz zadziwiała Grega swoimi umiejętnościami komputerowymi, ale miała też irytujący nawyk znikania w telefonie. Nie podniosła znad niego wzroku, nawet gdy do pokoju socjalnego wszedł Peppe Norlén.

- Przepraszam - rzucił Peppe z z troską miną. - Musiałem pogadać z dziennikarzem, który domagał się komentarza w sprawie Amandy.

Widać było, że śledztwo dotyczące zaginionej rok temu Amandy Sundin leży mu na sercu. Zmarszczki na jego czole zrobiły się jeszcze bardziej widoczne, cienie pod oczami większe, a wystrzony do tej pory wzrok stał się niespokojny. Peppe miał pięćdziesiąt pięć lat, od ponad trzydziestu pracował w policji, w tym od dwóch jako przełożony Grega. Jednak po pewnym sobie szefie zespołu śledczego, który kocha swoją pracę, nie został już ślad.

- Powiedziałeś mu, że śledztwo zostało zamknięte? - zapytała Noomi, nie odrywając oczu od ekranu telefonu.

- Nie zamknięte, tylko odłożone na bok.

- Wspominałeś o tym temu dziennikarzowi?

- Nie. Nie odpowiedziałem również na pytania, dlaczego nie znaleźliśmy jej ciała i czy jest jeszcze szansa na to, że Amanda żyje - przyznał przybitym głosem Peppe. - Wyjaśniłem jedynie, że damy im znać, jak tylko pojawi się coś nowego. A wtedy on zaczął narzekać na wiarygodność policji.

Noomi odsunęła błyszczące czarne włosy wpadające jej do oczu i odwróciła telefon w ich stronę.

- W tym momencie nasza wiarygodność równa się zeru - oznajmiła, pokazując im nagranie z rannych wiadomości.

Dotyczyło Amandy i rocznicy jej zaginięcia. Gdy na ekranie po-

jawiła się jej starsza siostra i z płaczem wyznała, że policja już nic nie robi, by znaleźć sprawcę porwania, Peppe wziął telefon z ręki Noomi.

- Co robisz? - oburzyła się.

- Nie mam siły tego więcej słuchać - odparł podniesionym głosem przełożony, po czym wyłączył nagranie i odłożył aparat na stół.

W pokoju socjalnym zapadła cisza. Greg zauważył, że Noomi próbuje złapać jego spojrzenie, on jednak uparcie wpatrywał się w półmisek z bułeczkami. Śledztwo w sprawie zaginięcia Amandy we wszystkich wzbudzało wiele emocji. To była też pierwsza tak duża sprawa Grega. Pracował jako śledczy od około roku i żadne z dotychczasowych dochodzeń nie mogło się z nią równać.

W domu na Dynudden panowały ciemności i cisza, gdy Greg razem ze swoim partnerem z pracy, Sebastianem Ekmanem, przyjechali na miejsce po telefonie alarmowym męża Amandy, Johana. Garaż świecił pustkami, jej Volkswagen zniknął. Należąca do niej komórka była wyłączona i nie mogli jej znaleźć.

Po powrocie z kursu łowieckiego w Ombergu, podczas którego odebrał telefon od żony, Johan był tak zdenerwowany, że ledwie rozumieli, co do nich mówi.

- Na pewno jest na to jakieś dobre wytłumaczenie. - Sebastian próbował go uspokoić. - Może po prostu potrzebowała chwili dla siebie, z pewnością niedługo wróci.

Johan podniósł głos:

- Musicie mi uwierzyć, ktoś ją porwał. Zniknęła!

Trudno było spokojnie patrzeć na ogamiętego paniką mężczyznę. Greg niewiele wtedy powiedział, ale wkrótce zarówno on, jak i pozostali członkowie zespołu śledczego doszli do jednego wniosku. Amanda nie odeszła z domu, ktoś był wtedy w garażu. Skontaktowali się z jej krewnymi i rozszerzyli poszukiwania na media społecznościowe. Nikt jednak nie wiedział, co się jej przydarzyło. Ludzie zaczęli spekulować. Dziennikarze rozpisywali się o prywatnym życiu Sundinów. W końcu burza medialna uciłła. Nie było już w czym grzebać. Dzisiaj jednak, w rocznicę zaginięcia, znów odkopano całą historię.

Noomi sięgnęła po telefon i ponownie włączyła nagranie.

- Prosiłem, żebyś to wyłączyła - rzucił wzburzony Peppe.

- Zamknijcie mnie za to, przynajmniej ktoś w tej sprawie trafi za kratki - mruknęła Noomi.

- Słucham? - zapytał ostro Peppe.



EMELIE SCHEPP

Szwedzka ekspertka od popularnych powieści z tzw. dreszczykiem, których akcja toczy się zazwyczaj w Norrköping. W przeszłości pracowała jako koordynatorka projektów reklamowych.

- Nic - odparła Noomi, chowając telefon.

Peppe westchnął i rzucił okiem na złotego rolexa.

- Gdzie jest ta nowa, Maia Bohm? - zapytał Grega.

- Nie mam pojęcia.

- Ale już jedzie?

- Nie wiem, skoro jednak od miesiąca czekaliśmy na dodatkowe wsparcie, możemy poczekać jeszcze chwilę - odparł Greg, próbując rozładować atmosferę.

- Minał już miesiąc od odejścia Sebastiana? - zdziwiła się Noomi.

- Tak - odparł Greg.

Właśnie do niego dotarło, że od tamtej pory ze sobą nie rozmawiali. Sebastian dzwonił do niego dwukrotnie, ale Greg nie odebrał, choć wiedział, że prędzej czy później i tak na siebie wpadną. Nie mógł przeboleć decyzji partnera o odejściu ze służby. Odebrał to jako zdradę? Być może.

- Słyszałam, że Maia musiała zrezygnować z poprzedniej pracy ze względu na jakieś osobiste sprawy. Wiecie, o co chodziło? - zapytała Noomi.

Greg pokręcił głową.

- Wiem tylko, że przez wiele lat pracowała w policji w Härjedalen i jest porządną śledczą - odparł.

- Jest dobra - przyznał Peppe. - Poza przychodzeniem na czas do pracy.

Zadzwonił telefon Grega:

- Aspirant Greg Wallin.

- Cześć, tu Maia. Twoja nowa partnerka.

- Dzwoniłem do ciebie wcześniej. Jesteś już na miejscu?

- Nie, zepsuł mi się samochód. Mogłbyś mnie zgarnąć?

- Może to rzeczywiście akumulator - stwierdziła Maia, patrząc, jak laweta z jej pick-upem znikła za Marienbergsskolan.

Stojący obok niej Greg nic nie powiedział.

Maia spotkała go dziś po raz pierwszy. Nie wyglądał tak, jak się spodziewała. Był wysoki i szczupły, miał przedziadek na modłę lat dziewięćdziesiątych i niepewne spojrzenie. Jasnoniebieską koszulę zapiał aż pod samą brodę i włożył do spodni.

- Przynajmniej tak mi się wydaje - mówiła dalej. - Nie znam się na samochodach, wiem jedynie, że ta kupa złomu ma prawie tyle lat co ja.

- To znaczy ile? - zapytał nieco skřępowany Greg.

Uniosła brew.

- Czterdzieści dwa. Myślałam, że już mnie sprawdziłeś.

- Nie. Szef dał nam tylko znać, że zaczynasz od dzisiaj jako śledcza - odpowiedział Greg, poprawiając koszulę.

- Peppe Norlén, prawda?

Skinął głową.

- Czekaj w komendzie razem z Noomi - dodał i ruszył w stronę Volva zaparkowanego kawałek dalej w cieniu.

- Nic więcej nie mówił? - upewniła się Maia, idąc za nim.

- Nie bardzo, może poza tym, że twój poprzedni pracodawca uważał cię za pozytywnego i zaangażowanego pracownika.

- Taak, przekupiłam go nieco - odparła.

Jej komentarz wywołał uśmiech Grega. Teraz zauważyła, że mimo tej swojej niepewności jest naprawdę przystojny.

- Jak myślisz, ile zajmie im naprawa samochodu?

Greg wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale Nicklas z warsztatu zwykle załatwia wszystko szybko.

- Znasz go?

Ponownie skinął głową.

- Znam większość mieszkańców, tak to już jest...

- ...gdy się pracuje w policji - dopowiedziała Maia.

Greg podszedł do samochodu, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Maia zajęła fotel pasażera, usilnie starając się odgadnąć wiek partnera. Był znacznie młodszy od niej, pewnie miał około dwudziestu pięciu lat, i nawet jeśli sprawiał wrażenie nieśmiałego, to wyglądało na to, że mu zależy.

- Jesteś stąd? - zapytała.

- Tak, mieszkam w mieście, to znaczy w centrum.

Maia się zaśmiała (...).



Emelie Schepp, „Sto dni w lipcu”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2025, cena 59,90 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800 472 852

Przez internet: www.kurierlubelski.pl

e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

W Biurze Reklamy:

LUBLIN, Biuro Ogłoszeń, Krakowskie Przedmieście 10

tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14

LUBLIN, Biuro Reklamy, Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3

tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MONTAŻ karniszy, suszarek, żyrandoli, szafek, mebli, zamków, ścianki działowe, sufity podwieszane, malowanie, hydraulika, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

OKNA, konserwacja, regulacja, uszczelnianie. Balkony, tarasy - sufity, ściany, balustrada, terakota, 601-351-338

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy, remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie kanalizacji, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492

AUTOREKLAMA

Polecamy →



strona podróży



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

Krzyżówka panoramiczna

nauka o podboju Kosmosu

druga do własności sakwa

zabawa rzadkie imię męskie

jednostka masy równa prawie 10 kg śpiewana w operze

urywek tekstu słowa piosenki

dziedzina nauki i techniki niezbyt

wśród robotników

wywabił plamę Witold, aktor

stała posada

imie aktorki z filmu „Titanic”

20

konny pojazd

większa od szpadla

25

23

drogocenny piracki łup

polski komputer

16

otwór w silosie lub elewatorze

21

14

orzeka wyrok powyżej kolan

24

palma malajska

kochanka Aleksandra Wielkiego

staropolska niechęć

popielcowa rozpoczyna wielki post

jezioro w środkowej Irlandii

beczka na piwo

15

można je komuś nadać

18

wyższy rangą od króla

27

13

miasto nad jeziorem Roś

19

4

bydlęca mu-chówka

17

7

1

król Maroka w latach 1961-99

6

murzyński bęben

10

12

duże jezioro w Afryce

prezydent Kostaryki w latach 1986-90

posiedzenie sądu

Uśmiechnij się!

Kelner podaje klientowi zupę grzybową i od razu wręcza mu rachunek.
– Ależ ja jeszcze nie zjadłem ... – dziwi się gość.
– Wie pan ...

pusztelnia

wysłany z kodem

Danczowska

wyrabianie pasmanterii

11

8

9

26

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) głębinowa strefa mórz (6).
- B) sfera życia na Ziemi, obejmująca wszystkie organizmy żywe (8).
- C) Nat „King” ..., amerykański pianista jazzowy i piosenkarz (4).
- D) dawniej kronikarz, historyograf (9).
- E) imię Hemingwaya, pisarza („Komu bije dzwon”) (6).
- F) wywieszana w święta państwowe (5).
- G) kanadyjski piosenkarz i aktor (5).
- H) zjawisko optyczne w atmosferze (4).
- I) rzadki, srebrzystobiały metal (5).
- J) trener polskiej kadry piłkarskiej (3,5).

Ż

A

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

- K) nie pasuje do kozucha (7).
- L) kowalny metal używany do produkcji stopów glinu (6).
- Ł) polowanie na dzika (4).
- M) słup z banderą (5).
- N) Nick, aktor z filmu „48 godzin” (5).
- O) Pacyfik lub Atlanty (5).
- P) serdeczny do noszenia obrączki (5).
- R) miejsce zwycięskiej bitwy kosynierów (9).
- S) imię autora powieści „Przedwiośnie” (6).
- T) synowie Uranosa i Gai (6).
- U) uczęszcza do liceum (5).
- W) wejście do czołgu (4).
- Z) obróbka metalu na zimno (6).
- Ż) żartobliwe określenie Francuza (7).

Krzyżówka z hasłem

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Rozwiązaniem jest aktualne hasło, które powstanie z liter w polach ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 24.

- Poziomo:
- 1) oszołomienie alkoholowe,
- 8) najlepsza po bretońsku,
- 9) utarty zwrot, banał,
- 10) mebel służący do spania,
- 11) kosmetyczny specyfik,
- 13) autorka powieści,
- 16) dygnitarz, ważna persona,
- 20) roczniki, kroniki,
- 21) okno wystawowe w sklepie,
- 22) kolczasty krzak z owocami,
- 23) zestaw codziennych modlitw,
- 24) rzeczy podróżnego.
- Pionowo:
- 2) syn Zeusa, brat Artemidy,
- 3) podobny do wilka,
- 4) wojska konne, jazda,
- 5) futerał na strzały do łuku,
- 6) zbierana przez skarbnika,
- 7) postać w utworze literackim,
- 12) był nim św. Wojciech,
- 14) wartość emisyjna banknotu,
- 15) kieruje statkiem wodnym,
- 17) dziewiczy, stary las,
- 18) bójka, publiczna awantura,
- 19) latający lub perski.

dama do towarzystwa w Japonii

soczysta gruszka

dipol na dachu

imię Łem-pickiej

interwencja chirurga

WIRÓWKA PANORAMICZNA

odgłos pracy silnika

sztylet na lufie

„Samotny biały ...”

czynny wypoczynek po pracy

sedno sprawy

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kre-ską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie – dramat Tennessee Williamsa.

Duet jolek

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

W diagramach ujawniono niektóre litery. Litery z pól ponume-rowanych od 1 do 20, utworzą rozwiązanie.

- W przypadkowej kolejności:
- lalusi, modniś
- wiec wyborczy
- wysoki mężczyzna
- konserwa rybna z makreli
- odgłos przelewającej się wody
- kraina historyczna w Uzbeki-
- stanie i Turkmenii
- teflonowa w kuchni
- malec pod opieką samury
- wersja Volkswagena
- malutka fajba
- „lek” z substancją biologicznie nieaktywną
- model Subaru

Logogryf

1

2

3

4

5

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

- 1) mityczny ojciec Zeusa,
- 2) Onet lub Interia,
- 3) żałobny utwór liryczny,
- 4) synowie Gai i Uranosa,
- 5) liceum lub technikum.

Szyfr

13

5

8

1

16

10

6

2

15

11

3

4

14

12

7

Litery z pól od 1 do 16 utworzą rozwiązanie: imię i nazwisko aktora.

- Poziomo:
- 13) Pier ... Pasolini, włoski re-żyser,
- 11) Joseph, autor powieści „Lord Jim”.
- Pionowo:
- 9) Andrea, włoski mąż stanu z XVI wieku,
- 13) stawiany przez zduna.

Krzyżówka

1

2

3

4

5

6

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 5, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo – waluta:
- 4) Danii,
- 5) Węgier,
- 6) Mongolii.
- Pionowo:
- 1) typ starożytnego Polaka,
- 2) pracował przy żniwach,
- 3) wróżbiarstwo, sztuka prze-powiadania przyszłości.

Rozwiązania

A-Ż: handlarz.
Boga wystawiamy; krzyżówka
ka: rupia; duet jolek: Cielbie
Leonardo DiCaprio; krzyżów-
grafi: „Nostalgia anioła”; szyfr: rozdział w naszym życiu; logo-
krzyżówka z hasłem: Nowy
miczna: „Szkłana menażeria”;
wiadomo: wirówka panora-
Z grzybkami nigdy nie
Krzyżówka panoramiczna:

LOWERY - ARBORE	ADAR	MATTENIV	RYZALIT	FL	6	3
						3

ROZWIĄZANIE: W WALCE Z ZACOFANIEM WCIAŻ BRAK POSTĘPU.

CZYTELNIA

Literatura sf. istniała już w XVII w. za sprawą Cyrana o długim nosie

W Krakowie na Sławkowskiej jest Restauracja Cyrano de Bergerac, specjalizująca się w kuchni francuskiej. Niestety, ani do przepiórek w cieście, ani nawet do ostryg Fine De Claire nie dodają „Tamtego świata” Cyrana de Bergeraca (1619-1655). A mogliby, powieść wyszła niedawno w PIW-ie.

Libertyn w kosmosie

Kim był ów Cyrano? A właściwie Hercule Savinien de Cyrano de Bergerac? Filozofem, który uważał się za „prawdziwego” kartezyjnistę, żołnierzem-zabijaką, bazarzem, libertynem, a przy tym pisarzem. I to dość niezwykłym – „Tamten świat” opowiada bowiem o podróży do państw Księżyca i Słońca. W XVII w. mogło to budzić zdumienie.

Zwłaszcza że autor daje się ponieść fantazji w tworzeniu i doborze argumentów. Książka jest pełna humoru, satyry i refleksji nad ludzką naturą oraz kosmosem, który bawi zarówno swoją formą, jak i treścią. Nikogo nie zdziwi, że na kartach powieści „kamienie czują, rośliny są obdarzone instynktem, a zwierzęta rozumieją”.

Ten przeklęty nos

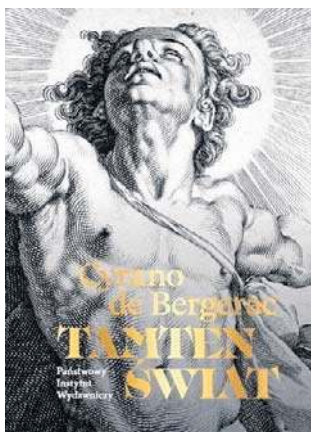
Przewrotna fortuna do spółki z niejakim Edmonema Rostan-dem, złośliwcem i autorem XIX-wiecznej sztuki teatralnej o Cyranie sprawili, że nasz bohater kojarzony jest z najdłuższym nosem w historii, dłuższym nawet od nosa Kleopatry. „Gdybym miał nos taki duży, wnet bym go sobie ściąć kazał do szczytu” – pokpiwają z Cyrana bohaterowie sztuki.

Nawet Kornel Makuszyński nie odmówił sobie ironii: „Sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano, tego nosa, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosała osobny uśpakać kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się nie umęczoną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie: ustami, oczami i rękoma; słowami migał jak szpada, przypominając owego Gaskończyka, który tak grzmiał w liście: »Piszę do ciebie trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej«”.

De Bergerac nieugięty

Nieco ciekawostek o życiu Bergeraca dorzuca Juliusz Kaden-Bandrowski. O nosie na szczęście nie dowcipkuje: „Pewnego dnia gdy wracał do domu spadła mu na głowę ciężka kłoda drzewa. Odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, której już odtąd miał ulec. Rozeszła się nawet wieść, iż miał przyćmiony umysł.

Czternaście miesięcy męczył się w domu jednego z licznych przyjaciół. Nie brakło tu pobożnych usiłowań, celem nawrócenia go, szczególnie ze strony pięknej krewnej Magdaleny Robineau, baronowej z Neuville, która po bohaterskim zgonie męża, podczas oblężenia Arras, przyoblekła szaty zakonne. Umarł Cyrano de Bergerac, zaledwie 36 lat licząc, w późnej jesieni 1655 r.”. **grab**



Cyrano de Bergerac,
„Tamten świat”,
wyd. PIW,
Warszawa 2025,
cena 65 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA ZILLMAN

Zatańczyła na rurze

Udział polskiej wioślarki w parze z Janją Lesar w ostatniej edycji „Tańca z gwiazdami” wzbudził ogromną sensację. Tym większą, że po programie medalistka olimpijska rozstała się z ukochaną, Julią Walczak, a tancerka ze swym wieloletnim partnerem Krzysztofem Hulbojem. Zaczęto więc coraz głośniej mówić, że Zillman i Lesar są parą. Obie panie wydają się podsycać te plotki. W miniony wtorek wrzuciły do internetu relację ze wspólnego wypadu na trening tańca na rurze. Tancerka i wioślarka próbowały swoich sił pod czujnym okiem instruktorki oraz dopingowały się wzajemnie zza kadru. „I teraz co z tym zrobić?” – zapytała na koniec Lesar fanów.

HELENA ENGLERT

Nie potrzebuje Oscara

W najnowszym wywiadzie dla podcastu „Pierwsza randka” młoda aktorka wróciła do czasów, kiedy wybrała się na kurs do USA. Początkowo planowała zostać za oceanem na dłużej, aby tam spróbować zaistnieć, ale szybko porzuciła te plany. – Zdałam sobie sprawę, że przez pół roku w Stanach nie odbyłam ani jednej wartościowej rozmowy, która wykraczałaby poza „Hi, how are you? Oh my God, you look so amazing. Whatever”. I że ja nic nie przeczytałam, niczego się nie dowiedziałam i że nie tęsknię za nikim, kogo tam poznałam. Po prostu to chyba nie tędy droga, bo ja jestem tu szczęśliwsza. I że po co mi ten Oscar? W sensie jakby w ogóle o tym nie jest życie.

DAWID KWIATKOWSKI

Plakał w garderobie

Podczas niedawnego „Sylwestra z Dwójką” piosenkarz świętował trzydzieste urodziny. Był tort na scenie i wspólne śpiewanie „Sto lat”. Tym bardziej fanów wokalisty zaskoczył wpis, jaki wrzucił w miniony wtorek na Instagram. Na zamieszczonym zdjęciu widać, jak siedzi w garderobie „Sylwestra z Dwójką” i zakrywa dłońmi twarz. Pod fotografią widniał podpis: „Placz



Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki i nawet... posprzątała tam plażę

chłopie w tej garderobie ile wlezie. Tyle lat nie potrafiłeś tego robić, aż w końcu się nauczyłeś, a raczej nauczono cię, gdy leżałeś na kozetce. Całe dzieciństwo w gotowości, w śpięciu, uciekać albo walczyć. I tak się zbierało wszystko, bez jakiegokolwiek ujęcia. A człowiek błagając pojęcia nie miał, że można. Placzmy, kiedy się chce. Żeby się kiedyś nie przelało”.

OMENAA MENSAH

Sprzątała plażę

Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki, skrzętnie dokumentując swoją wędrowkę w social mediach. W jednym z ostatnich wpisów Mensah zwróciła uwagę na to, że turyści i mieszkańcy Czarnego Łądu nie dbają o ekologię. „To, co mnie bardzo często przeraża w trakcie różnych podróży, to że na wielu plażach, zarówno Afryki, jak i Azji, można zobaczyć takie śmieci, których się nie spodziewamy. Uwaga, tu znalazłam kask – to jest taki minikask dla dzieci, zabawka. No właśnie, edukacja, edukacja, ale cóż... Zbieram, zanoszę. O, grzebień. Trzeba naprawdę zacząć o tym wszystkim myśleć w takich kategoriach, że takie śmieci tu nie powinny być” – stwierdziła.

AGNIESZKA HYŻY

Wylała wiele łez

Podczas niedawnego wypadu na Malediwy prezenterka urządziła instagramową zabawę w pytania i odpowiedzi

z fanami. Kiedy pogratulowano jej udanego związku z Grzegorzem Hyżym, wyznała, że miewali różne kryzysy. „Odbiliśmy wiele trudnych rozmów. Wylaliśmy wiele łez, często w pojedynkę w poduszkę. Tego po prostu nie widać na Instagramie, co nie oznacza, że nie istnieje w prawdziwym życiu. Z szacunku do siebie nawzajem nie wywlekamy takich tematów publicznie, bo po co i na co? Ale nie można też udawać i wciskać ludzioru, że od 12 lat jesteśmy w sobie nieustannie zakochani, nie mamy żadnych trosk ani problemów, nigdy się nie kłócimy i że generalnie panuje u nas wieczna idylla” – napisała.

JOANNA KRUPA

Znalazła męża

Ostatnio modelka ogłosiła, że zamierza zbudować swój własny biznes, a jego bazą mają być produkty skierowane do kobiet. Na początek zdecydowała się wejść we współpracę z jedną z popularnych marek i przygotowała autorską kolekcję rajstop. Na Instagramie celebrytka pojawiło się wideo zza kulis sesji, podczas której pozowała w owych rajstopach i lakierowanych kozakach. Muzyczny podkład stanowiła piosenka z refrenem „Where Is My Husband?”, czyli „Gdzie jest mój mąż?”. Jakby w odpowiedzi na to pytanie Krupa podpisała nagranie: „Nie szukam męża, po prostu podążam za trendem. Mój mąż to moja praca, moja kariera i szczerze mówiąc... świetna para rajstop”.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Energia sprzyja działaniu, ale zachowaj umiar. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa przyniesie inspirację oraz spokój.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na porządkach. Horoskop na dziś mówi, że mały sukces doda Ci pewności, a wieczór sprzyja relaksowi.

Baran (21.03 - 19.04)

Dzień sprzyja aktywności. Horoskop dzienny na piątek mówi, że odważna decyzja przyniesie postęp, ale pamiętaj też o odpoczynku.

Byk (20.04 - 20.05)

Spokój i konsekwencja pomogą dziś rozwiązać drobną sprawę. Horoskop dzienny radzi zaufać intuicji.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Rozmowa otworzy nowe możliwości, ale horoskop na dziś sugeruje, by nie obiecywać zbyt wiele nikomu.

Rak (22.06 - 22.07)

Emocje będą silne, lecz horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerść wobec bliskich przyniesie ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

Lew (23.07 - 22.08)

Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop dzienny radzi wykonać dzień na twórcze działania i planowanie.

Panna (23.08 - 22.09)

Porządek w myślach pomoże uniknąć nieporozumień. Horoskop na dziś zapowiada, że drobny gest poprawi relacje z innymi osobami.

Waga (23.09 - 22.10)

Harmonia jest w zasięgu ręki. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by wygospodarować czas na rozmowę i zadbać o własne potrzeby.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Intensywny dzień sprzyja przełomom. Horoskop dzienny radzi zachować dyskrekcję i działać spokojnie.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Obowiązki wymagają skupienia, lecz wysiłek zostanie doceniony. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór będzie sprzyjał regeneracji.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nieszablonowe pomysły spotkają się z zainteresowaniem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że współpraca przyniesie korzyści.

Na Wielkiej Krokwi fani skoków podziękują Kamilowi Stochowi

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W sobotę i niedzielę w Zakopanem odbędą się konkursy PŚ. Dla Kamila Stocha ma to być ostatni występ w prestiżowym cyklu na Wielkiej Krokwi.

Zakopane w historii polskich skoków to miejsce wyjątkowe i symboliczne. Po latach sukcesów Adam Małysz w 2011 r. odniósł tam ostatnie zwycięstwo w karierze. W tej samej edycji swój pierwszy triumf święcił młody wówczas Kamil Stoch, co było pierwszym znaczącym krokiem do niesamowitej kariery.

Piętnaście lat później Stoch po raz ostatni wystąpi na Wielkiej Krokwi. Latem zapowiedział, że po tym sezonie kończy karierę. Zawody w sobotę i niedzielę będą więc jego pożegnaniem z Zakopanem. Dla kibiców to okazja, aby po raz ostatnim go dopingować i podziękować mu za wiele pięknych lat,



Kamil Stoch w Zakopanem wygrał pięć konkursów indywidualnych, raz był trzeci. Pod względem liczby zwycięstw dorównuje mu tylko Austriak Gregor Schlierenzauer

obfitujących w emocje i sukcesy. W tym sezonie prezentuje w miarę równą formę, lecz pułap osiągnięć to druga dziesiątka, najlepsze było 12. miejsce. Co nie znaczy, że na „swojej” skoczni

nie będzie w stanie poprawić tego wyniku. No bo jak pożegnać się z kibicami w Polsce, to najlepiej z przytupem.

Nie zmienia to faktu, że niewielej szans na sukces wypada

przyznać komuś innemu z naszej kadry. W tym sezonie liderem reprezentacji jest Kacper Tomasiak. Debiutujący w PŚ 19-latek w klasyfikacji generalnej jest 11., punktował niemal we

wszystkich startach, zajmował miejsca w czołowej „10” (najlepszy rezultat to 5. lokata). Na taki powiew świeżości nasze skoki długo czekały. A nawiązując jeszcze do „magii Zakopanego”, może na Wielkiej Krokwi nastąpi kolejne symboliczne przekazanie pałeczki – w ostatnim konkursie Stocha w tym miejscu swoje pierwsze podium może wywalczyć Tomasiak. A byłoby to coś niesamowitego, gdyby na nim stanęli obok siebie!

Ostatni raz na „pudle” w PŚ w Zakopanem był Dawid Kubacki (2. w 2023 r.). Teraz jeszcze musi walczyć o miejsce w kadrze na te zawody. Wystąpić może pięciu naszych skoczków, a trener Maciek Maciusiak wcześniej ogłosił, że skład najprawdopodobniej poda dopiero po piątkowych treningach. Pewniakami raczej są Tomasiak, Stoch i Maciej Kot, najrówniej ostatnio skaczący nasi zawodnicy. Poprzedni w PŚ startowali Kubacki i Paweł Wąsek, a zastąpić któregoś z nich może Piotr Żyła, odesłany

w trakcie Turnieju Czterech Skoczni do kraju na treningi.

Listę faworytów do zwycięstwa w Zakopanem otwiera Domen Prevc. Słoweńiec w tym sezonie jest bezapelacyjną gwiazdą. Od dawna prowadzi w klasyfikacji Pucharu Świata, sukcesywnie powiększa przewagę. Z 15 rozegranych konkursów indywidualnych tylko w dwóch nie był na podium (jeszcze w listopadzie, na początku cyklu). Odnosił już 7 zwycięstw, w tym 5 z rzędu, a niektóre z nich były bardzo wyraźne.

W Zakopanem Prevc nie będzie miał kilku mocnych rywali. Ze startu zrezygnowali choćby Japończycy Ryoyu Kobayashi i Ren Nikaido, czy Austriacy Daniel Tschofenig i Stefan Kraft. Postanowili skupić się na przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Program PŚ w Zakopanem. Sobota: 12 - sesja treningowa, 14:15 - kwalifikacje do konkursu indywidualnego, 16:10 - konkurs duetów (super-team); **niedziela:** 15 - seria próbna, 16 - konkurs indywidualny. ©©

Hurkacz i Świątek pełni wiary przed ćwierćfinałem United Cup

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS ZIEMNY. W dwóch ostatnich edycjach brakowało jednego zwycięstwa do zdobycia trofeum. Iga Świątek i Hubert Hurkacz są sercem i duszą reprezentacji od początku turnieju.

W 2023 roku Polska przegrała w półfinale z USA, a w dwóch kolejnych latach dotarła do finału. Mecze o tytuł przegrała, kolejno, z Niemcami i USA.

W środę duet Iga Świątek i Hubert Hurkacz z powodzeniem doprowadził Polskę do fazy pucharowej, w której w ćwierćfinale zmierzy się z gospodarzami turnieju – Australią.

Fazę grupową obecnej edycji Biało-Czerwoni przeszli w świetnym stylu, wygrywając po 3:0 z Niemcami i Holandią. Dużą w tym zasługą Hurkacza, który w Sydney wrócił po ponadpółrocznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana.

– Nie wiedziałem, czego się po sobie tutaj spodziewać. Oczywiście, generalnie oczekujemy wiele, ale rzeczywistość mogła okazać się inna. Wiedziałem, że jestem gotowy. Nadal jednak potrzebuję czasu, żeby się poprawić i rozwinąć –

powiedział „Hubi” po awansie do ćwierćfinału.

Po tym, jak Hurkacz potwierdził swoje zwycięstwo nad Alexandrem Zverevem w swoim powrocie do rozgrywek ATP, pokonując Holendra Tallona Griekspoor i oficjalnie zapewniając sobie awans jako zwycięzca grupy F, Iga Świątek z łatwością pokonała Suzan Lamens w dwóch setach.

– Byłam bardziej precyzyjna w pracy nóg. Myślę więc, że to była poprawa w porównaniu z poprzednim meczem. „Hubi” również zagrał niesamowicie, więc mogłam wyjść na kort z dużą pewnością siebie, bo on już w pewnym sensie wprowadził nas do ćwierćfinału. Mogłam po prostu grać swobodnie – oceniła druga rakietka świata.

Gospodarze czekają w ćwierćfinałach, a Alex de Minaur zapewni Hurkaczowi kolejną szansę sprawdzenia się z rywalem z pierwszej dziesiątki w jego pierwszym występie od czasu operacji prawego kolana w lipcu ubiegłego roku.

– Prawdopodobnie jest blisko, a może nawet najwyższej w rankingu, jaki kiedykolwiek miał. Jest naprawdę szybki, porusza się po korcie niesamowicie dobrze. To będzie więc dobre wyzwanie, zwłaszcza przed australijską publicznością.



Hubert Hurkacz i Iga Świątek, po wygranych meczach w grupie z Niemcami i Holandią, poprowadzą reprezentację Polski w meczu ćwierćfinałowym United Cup z Australią

ścią. Będzie świetna zabawa i nie mogę się doczekać meczu – powiedział Hurkacz, który ma bilans 1-2 z De Minaurem.

Z dwoma zawodnikami z czołowej dziesiątki rankingu na jednym turnieju Hurkacz wygrał ostatnio w 2022 roku w Halle. Wówczas w ćwierćfinale pokonał dziewiątego Kanadyjczyka Felixa Augera-Aliassime’a, a w finale lidera zestawienia Rosjanina Daniila Miedwediewa.

Świątek miała na razie teoretycznie słabsze rywalki, ale 39. w rankingu Niemka Eva Lys sprawiła jej sporo problemów. Ostatecznie Polka wygrała 3:6, 6:3, 6:4. Holenderkę Suzan Lamens (97. WTA) pokonała natomiast 6:3, 6:2.

W piątek Iga rozpocznie spotkanie z Mayą Joint, 19-letnią australijską tenisistką numer 1.

W 2025 roku Joint zdobyła dwa tytuły WTA i awansowała

na 32. miejsce w rankingu, jako jedna z wielolu debutantek w swojej karierze. Z powodu choroby nie brała udziału w meczu otwarcia Australii z Norwegią, a we wtorek przegrała w swoim debiucie w 2026 roku z Czeszką Barborą Krejčíkovą.

Wspominając podobny moment swojej kariery, Świątek stwierdziła, że nigdy nie uważała się za wschodzącą gwiazdę, czekając na przeło-

mowy moment jako mistrzyni Rolanda Garrosa w 2020 roku.

– Po prostu (starałam się) grać jak najlepiej, będąc outsiderką. Szczepnie mówiąc, to była niezła zabawa. Tęsknię za tamtymi czasami. Pamiętam, jak grałam przeciwko Ash (Barty). Czułam, jak dobra jest, kiedy była numerem jeden i tak solidna. Naprawdę mnie zainspirowała. Bycie outsiderem i bycie wschodzącą gwiazdą z tą świeżością, którą w sobie nosisz, to wspaniałe uczucie. To moment, w którym najbardziej poprawiasz swoją grę – wspominała sześciokrotna triumfatorka Wielkiego Szlema.

Świątek uważa, że Joint jak dotąd „radzi sobie świetnie”. Mimo że ceni sobie jej inteligencję i skromność, 24-latkę ma jednak w Sydney sprawy do załatwienia.

– Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie za dwa dni – powiedziała z uśmiechem Iga.

Mecz rozpocznie się o godz. 7.30 czasu polskiego od pojedynku Świątek z Joint. Po nich na kort wyjdą Hurkacz i de Minaur, a na zakończenie rozegrany zostanie mikst.

Na zwycięzców tego ćwierćfinału czekają już brońcy tytułu Amerykanie. W drugim półfinale Szwajcaria zagra z Belgią. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

Dzisiaj sparing ze Stalą,
a jutro wylot na obóz
do tureckiego BelekKamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

PIŁKA NOŻNA. O godzinie 12 Motor Lublin zmierzy się w zamkniętym dla publiczności sparingu z drugoligową Stalą Stalowa Wola. Jutro drużyna poleci na zgrupowanie do Belek.

5 stycznia Motor wrócił do wspólnych treningów. - Pierwszego dnia każdy jest pełen sił. Najważniejsze, żeby to podtrzymać - mówił po poniedziałkowych zajęciach kapitan ekstraklasowicza (bilans: 4-5-9), który po jesieni ma punkt przewagi nad strefą spadkową i siedem straty do europejskich pucharów.

Zimowe urlopy trwały trzy tygodnie. - Jeśli chodzi o mnie, to popracowałem troszeczkę nad tymi elementami, których czułem, że mi brakuje. Skupiłem się na tym, gdzie w tym natłoku meczów nie miałem tyle czasu, żeby zbudować taki fundament siłowy i udało mi się to zrobić w tym okresie - opisywał pomocnik, który 18 z 19 spotkań Motoru rozpoczął w pierwszym składzie.

Za nim i jego kolegami z drużyny cztery dni pracy, a przed nimi jeszcze trzy tygodnie przygotowań (pierwszy mecz ligowy 1 lutego, u siebie z Pogonią Szczecin).

Jutro Motor poleci na dwa tygodnie do Belek, drugi rok z rzędu.



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

- Na pewno dużo lepiej jest popracować w takich warunkach na naturalnej trawie, gdzie te treningi mogą wyglądać zupełnie inaczej niż tutaj na nawierzchniach sztucznych, gdzie też nie wiadomo, czy w każdy dzień trening będzie mógł się odbyć ze względu na pogodę - komentował Bartosz Wolski. - A jeśli chodzi o atmosferę, to myślę, że to będzie taki czas, żeby poznać siebie jeszcze lepiej niż dotychczas - dodawał.

W Turcji Lublinianie czekają dwa spotkania kontrolne. 16 stycznia z serbskim IMT Belgrad i 23 stycznia z macedońskim Vardarem Skopje.

- Myślę, że najważniejsze jest to, żeby podtrzymać tę pracę, którą wykonaliśmy już w trakcie sezonu i nie spuszczać z tego tonu - oceniał. ©

PIŁKA RĘCZNA

MKS El-Volt Lublin z cennym zwycięstwem w Gnieźnie Lubelskie szczypiornistki (bilans: 11-2) zwyciężyły w Gnieźnie z ekipą Enea MKS 29:25, w meczu 14. serii ORLEN Superligi Kobiet. Na początku drugiej połowy to gospodynie dwukrotnie obejmowały prowadzenie, ale wicemistrzyni Polski szybko odpowiedziały, odzyskały inicjatywę i zbudowały przewagę, której nie oddały już do końcowej syreny.

PIŁKA RĘCZNA



FOT. LOTTO PUŁAWY/FACEBOOK

PATRYK KUCHCZYŃSKI NIE JEST JUŻ TRENEREM LOTTO PUŁAWY

Ponad półtora roku trwała kadencja Patryka Kuchczyńskiego, jako pierwszego szkoleniowca LOTTO Puławy. - Dziękujemy trenerowi za zaangażowanie, profesjonalizm oraz wkład w rozwój drużyny - pisze klub na swoim facebookowym profilu. - Obecnie trwają rozmowy dotyczące ewentualnego dalszego pozostania trenera w strukturach klubu - czytamy dalej. Patryk Kuchczyński z Puławami związany był w różnych rolach. Od 2015 roku, przez trzy lata bronił klubowych barw w roli zawodnika. Wrócił tu w 2022 roku, dołączając do sztabu trenera Roberta Lisa, jako drugi szkoleniowiec. Od maja 2024 roku był natomiast głównym trenerem. 2025 rok był dla Puławian bardzo trudny. Jeszcze kilka miesięcy temu klub stanął na krawędzi istnienia, ale finalnie przystąpił do zmagania ligowych. Sześciokrotni medaliści krajowej elity drżą o pozostanie w gronie superligowców. Ostatnie dziesięć meczów ligowych z rzędu jednak przegrali. Na ten moment, z bilansem 3-14, są na przedostatnim miejscu w stawce (strefa spadkowa).



FOT. ARCHIWUM: SZUBI

KOSZYKÓWKA

Start pójdzie za ciosem? PGE Start Lublin (bilans: 5-9) wygrał dwa ostatnie mecze ligowe z kolei. Jutro (godz. 19:30) podopieczni Wojciecha Kamińskiego podejmą w hali Globus MKS Dąbrowę Górniczą (bilans: 6-8).

Mistrzowie zagrają
o Tauron Puchar PolskiKrzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

SIATKÓWKA. Jutro (godz. 14:45) w Krakowie Bogdanka LUK Lublin zmierzy się z Indykpołem AZS Olsztyn. Stawką spotkania będzie awans do finału Pucharu Polski.

Mistrzowie Polski bez wątpliwości będą faworytem, zarówno półfinałowego starcia z Indykpołem, jak i w przypadku awansu do niedzielnego finału (godz. 14:45), w którym zagra lepszy z pary PGE Projekt - Asseco Resovia.

Lublinianie jeszcze nigdy w swojej historii nie zegrali w finale PP.

Olsztyn ma tradycje

Sobotni rywal lublinian w Pucharze Polski triumfował już siedem razy. Od ostatniego zwycięstwa - w 1992 roku minęły już jednak prawie 24 lata.

Siatkarze Indykpołu AZS do turnieju finałowego awansowali po wyeliminowaniu w ćwierćfinale ekipy BBTS Białsko-Biała.

Zawodnicy prowadzeni przez trenera Daniela Plińskiego nie stracili w tym starciu nawet seta. Każda z trzech partii to pewna gra akademików.

Natomiast podopieczni trenera Stephane'a Antigi awans do Final Four zapewnili sobie, pokonując na wyjeździe w 1/4 finału ekipę Stali Nysa 3:1.

Kraków znowu gospodarzem

Od 2023 roku turnieje finałowe odbywają się nieprzerwanie w krakowskiej TAURON Arenie i co roku frekwencja jest coraz wyższa.

Wielki finał 13 kwietnia 2025 roku obejrzało z trybun aż 14 157 kibiców, co jest rekordem w polskich klubowych rozgrywkach.

Triumfowała ekipa JSW Jastrzębskiego Węgla. Z kolei w 2024 roku na trybunach zasiadło 13 935 widzów, a w 2023 roku - 11 815.

Wywalczonego w poprzedniej edycji trofeum nie obroni Jastrzębski, który nie bierze udziału w tegorocznym Final Four. ©



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

Wczoraj Lublinianie grali mecz Ligi Mistrzów, w Belgii z z Knack Roeselare



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

Koszykarki z Lublina na swoim koncie mają jeden Puchar Polski. Wygrały go dokładnie dziesięć lat temu

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

KOSZYKÓWKA. LOTTO AZS UMCS Lublin uległ w lidze VBW Gdyni, przez co traci do liderów tabeli z Gorzowa Wilk. Punkt. Dzisiaj (godz. 18) mecz Pekao SA Pucharu Polski ze Śląz Wrocław.

Turniej finałowy tych rozgrywek już tradycyjnie odbędzie się w hali w Sosnowcu, a udział w nim weźmie sześć drużyn. Poza ekipami z Lublina i Wrocławia są to: MB Zagłębie So-

śnowiec, Brother MUKS Poznań (1. liga) oraz czekające już w półfinałach VBW Gdynia oraz KSSE Enea Gorzów Wielkopolski.

Jeśli akademicki w wieczornym ćwierćfinale pokonają Ślązę (sąsiada w ligowej tabeli), to o awans do finału zagrają jutro (godz. 16) z ekipą z Gdyni.

To byłoby doskonałą okazją, żeby zrewanżować się za poniedziałkową porażkę w ramach rozgrywek ligowych. Po meczów zwrotów akcji zielonobiałe musiały w poniedziałek uznać wyższość rywali.

Przegrały trzeci mecz w lidze

W pierwszej połowie Lublinianki nie trafiły ani jednej z siedmiu prób trzypunktowych, co także miało wpływ na to, że do przerwy przegrywały 34:51.

Po powrocie na parkiet spotkanie przybrało inny obraz. Gdynianki nie zdobyły choćby punktu przez niemal sześć minut! W tym czasie akademicki rzuciły ich 12, zbliżając się na dwa posiadania (46:51).

Pierwszą „trójkę” dla gospodyń dopiero w siódmej minucie trzeciej kwarty ustrzeliła Ro-

bby Ryan. Amerykanka w ten sam sposób zakończyła tę część meczu, po której co prawda AZS nadal przegrywał, ale tylko 56:57. Wszystkie zaczęło się więc od nowa.

Ale końcówka czwartej kwarty należała do rywali. ©

LOTTO AZS UMCS Lublin - VBW Gdynia 71:77 (20:23, 14:28, 22:6, 15:20)

AZS UMCS: Ryan 17, Borkowska 16, Stanković 13, Ullmann 7, Slocum 6, Wojtala 4, Wnorowska 4, Gatling 4. Trener: Karol Kowalewski

VBW: Scott 17, Hobby 17, Jakubiuk 13, Piestrzyńska 12, Ulan 10, Wrzesiński 8, Maj, Wysocka, Zalewska. Trener: Martins Zibarts